

MÓJ PAMIĘTNIK  
PRZEDHISTORYCZNY

**Biblioteka  
Jolmy Śląskiego.**

TADEUSZ KORZON



# MÓJ PAMIĘTNIK PRZEDHISTORYCZNY



KRAKÓW — 1912

NAKŁADEM AUTORA

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SP.

12793

I.



5, -

X-42325
12793 I

## Mój pamiętnik przedhistoryczny.

---

### PRZEDMOWA.

Tytuł niniejszy może nasunąć przypuszczenie, że będę pisał o prahistoryi, o tych okresach, kiedy po ziemi naszej chodziły mamuty. Chociaż młodzi postępowcy porównują żartobliwie staruszków z temi kopalnemi zwierzętami, winienem jednakże zwrócić ich uwagę, że w owej epoce nie żyłem jeszcze: więc i do pamiętnika nie mogłbym wpisać. Historycy zawodowi wyznaczyli tylko 50 lat na całą działalność moją i obdarzyli mię zaszczytami jubileuszu w bieżącym 1912 roku; ja zaś dla sprostowania kilku pomyłek, jakie się do ich, najpochlebniejszych dla mnie artykułów wkradły i dla oświecenia kilku niewyraźnych, przyćmionych z latami wydarzeń, podam teraz osobiste wspomnienia o czasach, kiedy nie byłem znany publiczności z prac historycznych, czyli o czasach po-

przedzających występy moje dziejopisarskie. Czytelnik dowie się stąd, w jakich warunkach Polak wyrabiał się na historyka w XIX wieku <sup>1)</sup>).

---

<sup>1)</sup> Dwa rozdziały były już drukowane: pierwszy w Kalendarzu Mińskim na rok 1908, drugi w Słowie Polskiem we Lwowie w 1905 roku.

---

## ROZDZIAŁ I.

### Mińsk w połowie XIX wieku.

---

Stary przyjaciel rodziców moich wskazał mi dom, w którym się urodziłem w d. 28 października st. st. 1839 roku — drewniany, zieloną farbą pomalowany, o trzech oknach, patrzących na ulicę Zylicką, która łączyła ulicę Wołoską z Nizkim Rynkiem, a więc w najdawniejszej dzielnicy miasta położony, u stóp wzgórza, na którym wznosi się duży gmach murowany, ale czarno pomalowanymi klamrami na węglach wyróżniający się z pomiędzy okolicznych kamienic. Był to klasztor OO. Bernardynów, skasowany w 1868 r. Data urodzin świadczy, że nad kolebką moją zawisła już groźna chmura rusyfikacyi, nakazanej i usystematyzowanej przez wszechwładnego, a przy ówczesnym układzie stosunków mocarstwowych nawet wszechmocnego cesarza Mikołaja I. Nastąpiło już właśnie zniesienie Unii kościelnej, czyli przyłączenie

Unitów do Cerkwi Prawosławnej. Przygotowany był ukaz o zniesieniu Statutu Litewskiego czyli o zastąpieniu znakomitego, przez lat 400 wykonywanego, rodzimego prawodawstwa rosyjskim »Zwodem Praw«. W społeczeństwie mojem wytwarzały się dokuczliwe zawikłania i ciężkie utrapienia. Wspomniany nasz przyjaciel musiał zapisać się na wiarę prawosławną, chociaż był w duszy gorliwym katolikiem, miał żonę rzymsko-katolickiego wyznania, córkę ochrzczoną po katolicku, a syna prawosławnego. Jako urzędnik Izby Skarbowej (Kazionnaja Pałata) zyskał wprawdzie drogę do wyższych posad, uniedostępnionych dla katolików: ale jakże udreślał go przymus pokazywania się w cerkwiach i składania poświadczeń z odbytej przed Wielkanocą spowiedzi! Z jakąż goryczą wyrzekał na Polaków za to, że kraj własny zgubili! Będąc z uczuć i z pojęć Polakiem, pamiętając Mińsk jako miasto polskie, nie przypuszczał wcale możliwości odtworzenia rządów polskich i, urzędując w biurze po rosyjsku, marzył poza biurem tylko o niebieskiej ojczyźnie. Przez żonę, bardzo pobożną i dobroczynną, zostawał w serdecznem obcowaniu z duchowieństwem rzymsko-katolickiem i takie dwoiste życie pędził przez lat czterdzieści kilka, aż dosłużywszy się emerytury i sprzedawszy swój dworek, wyniósł się z rodziną do Wilna. Tu jako przybysz nieznany, mógł uniknąć dozoru

popów i zamieszkać pod kościołem, w mieszkaniu, wynajętem u proboszcza, z którym odbywał konferencye z rana, i grywał whista wieczorem. Ale nie doczekał się ukazania tolerancyjnego: w 1903 r. córka musiała pogrzebać go na cmentarzu prawosławnym oddzielnie od prochów matki, które spoczywają na Rosie.

Podobną maskaradą osłaniał domowe ognisko i stanowisko swoje społeczne mój chrzestny ojciec, Spasowicz, lekarz o praktyce rozległej i prezes urzędu lekarskiego (inspektor wraczebnój uprawy), doktor medycyny Uniwersytetu Wileńskiego, niezmiernie uczynny, troskliwy o swych pacjentów, Polak z mowy i z całego trybu życia, żonaty z Polką wyznania rzymskokatolickiego, ale prawosławny. Rodzina tedy była podzielona wedle płci na dwa wyznania. Synowie wyprawieni do Petersburga, chociaż mieszkali tam przez długie lata, pozostawali w ścisłej łączności ze społeczeństwem polskim.

Oto są cechy psychologiczne pierwszych neofitów prawosławia mikołajewskiego, typowe, powszechne. Mnóstwo rodzin rzymskokatolickich, spokrewnionych lub spowinowaconych z unitami, ujrzało ich niespodzianie w rynsztunku wielkorusyjskim, wcale nie przystającym do ich postury i natury. Dowiedziałem się z czasem, że kochana moja ciotka, Weltczkowa, miała męża i syna prawosławnych, oraz że jedna z jej có-



rek była zameżną za prawosławnym, lecz nie odczuwałem tej różnicy wrażeniami dziecinnymi, obcując z nimi. Nawet duchowieństwo prawosławne, o ile składało się z osób miejscowego pochodzenia, zachowywało w domu mowę i obyczaje polskie. Wszak byli tacy popi, jak np. Placyd Jankowski, którzy dawali do druku swoje utwory literackie, pisane w języku polskim, ale podpisywane pseudonimem: John of Dycalp. Więc przez parę dziesiątków lat utrzymywały się stosunki osobiste dawniejsze pomiędzy różnionymi obrządkiem religijnym grupami współrodaków. W mniejszych miastach, jak np. w Iłumieniu katolicy w pierwsze święto Wielkiejnocy po nabożeństwie szli z powinszowaniem do swego proboszcza, a potem do »błahoczynnego« czyli dziekana prawosławnego, który miał niemniej obfite święcone na długim stole a witał gości trzykrotnym pocałunkiem i wesołem Alleluja, albo starosłowiańskim: »Chrystos woskresie«.

Nie zapomniano przecież sprawców przewrotu, z których dwaj (Antoni Zubko do 1848 i Michał Hołubowicz do 1868) sprawowali rządy eparchii prawosławnej. Otaczała ich groza rządowej opieki i pamięć prześladowań, jakich doznali najwierniejsi i najwytrwalsi kapłani uniecy. Opowiadano, ale tylko zaufanym osobom, na ucho, o wywożeniu parochów opornych do Kurska lub do innych miast wielkorosyjskich »na poprawę spo-

sobu myślenia«, o dręczeniu mnichów w łaźni parzeniem i pragnieniem, o mękach zadawanych Bazyliancom na Trojeckiej górze i ucieczce przełożonej Makryny Mieczysławskiej za granicę. Rozmowy takie i ubolewania trzeba było ukrywać ostrożnie; w życiu publicznem nie ujawniały się one pod żadnym pozorem.

Własne moje spostrzeżenia poczynają się od lat pacholących t. j. mniej więcej od 1845 r. Mieszkaliśmy wówczas przy zaułku Archirejskim, który stanowił przecznicę pomiędzy ulicami Jurewską i Zacharzewską, najdłuższą ze wszystkich ulic Mińska, zaczynała się bowiem od rogatki traktu Kojdanowskiego, ciągnęła się pomiędzy domostwami drewnianymi rozmaitej wielkości i okazałości, następnie pomiędzy szeregiem kamienie i placem Nowego Rynku do posesji archireja, dalej już niebrukowana spuszczała się dość łagodnym stokiem góry pomiędzy parkanami ogrodów, między pensją żeńską Szejderowej oraz siedzibą żandarma gubernialnego i letnią siedzibą gubernatora do mostu na rzece Świsłoczy. W tem miejscu rzekę obejmował ogród publiczny; piękniejszy wówczas, niż dzisiaj, ogrodzony od strony ulicy wysokim sztachetem i ozdobiony bramą z napisem łacińskim: »Hortus Urbis«. Łacinie takiej miałby może coś do zarzucenia Rzymianin, ale na lepszą nie mógł się zdobyć założyciel ogrodu, Karniejew

około 1800 r., drugi gubernator Mińska. Jest to pamiątka administracyi rosyjskiej najjudatniejsza i najprzyjemniejsza, legowana mieszkańcom polskiego miasta, które nie dosięgało tej okolicy w czasach przedrozbiorowych.

Archirejski zaułek musi pochodzić z okresu porozbiorowego, boć pierwszym archirejem mińskim był mianowany przez Katarzynę II-gą, a dobrze znany dziejopisom Wiktor Sadkowski. Nie miała ta uliczka bruku, chodników, rynsztołów, niezbędnych przy spadzistości stromej względem ulicy Jurewskiej; wyglądała przeto jak droga wiejska, pokiereszowana w środku przez wody deszczowe. W części górnej spadzistość była złagodzona rydlem, ale z boku pozostał pagórek bujną trawą porastający na wiosnę. Po obu stronach stały domy drewniane; z tych dwa w samym środku na połowie góry zbudowane, dziś nieistniejące, a raczej przebudowane do niepoznania, należały do Ławrynowicza, sławetnego mieszczanina, szewca, a zarazem rolnika. Posiadał on kilka morgów gruntu za miastem, coś tam zasiewał i plony zwoził jesienią do »odryny«, odgradzającej jego podwórze od sąsiedniej posesyi adwokata Drzniewicza. Mieszkaliśmy przez lat parę w domu parterowym, zajmując połowę przednią; drugą połowę wynajmował Antoni Prószyński, właściciel majątku ziemskiego (Osińce) czyli, jak wówczas mawiano »obywatel«,

żeby mieć pied-à-terre na czas przyjazdów do miasta za interesami. Cieszyłem się, gdy przez otwartą zwykle bramę wtoczył się powóz lub wsunęły sanie tego ziemianina. Biegłem przez sień z wizytą i doznawałem łaskawego traktowania od jednego z dorosłych synów. Któżby przepowiedział wtedy, że wnuk zostanie zięciem moim: »pisarz Gazety Świątecznej«, «Promyk» wynalazca obrazowej nauki czytania i pisania dla samouków?

Wiedza moja geograficzna przekroczyła następnie granice posesyi Ławrynowicza, posunęła się przez ulicę Jurewską na prostopadłą do niej Dominikańską, a ta nastroczyła oczom moim dużo ciekawych widoków. Na rogu ulicy Wołowskiej wznosił się ogromny kościół, o którym powiedziano mi że był zbudowany z »kopytkowego« czyli ze składki od kopyt końskich, ofiarowanej przez wracające z wojny rycerstwo polskie. Widziałem tam liczne ołtarze, ale zanim się napatrzyć zdołałem, zawarły się na zawsze drzwi wspaniałej świątyni; po dokonanych w niej przeróbkach urządzono dla kleryków świeckiego seminaryum kaplicę na poddaszu dość wszakże obszerną, gdy (nie pomnę, w jakie święta) wchodził do niej lud, wspinając się po kilkopiętrowych schodach. Klerycy razem ze swym rektorem i profesorami byli osiedleni w klasztorze po-dominikańskim.

Dalej oglądałem ruinę spalonego pożarem w 1835 r. kościoła Bazylianów i bramę bez wie-rzeż, czyli łuk murowany pomiędzy tym kościo-łem a klasztorem, przekształconym już na po-mieszczenie konsystorza prawosławnego. W ja-kim celu zbudowano tę bramę? Czy miała po-sługiwać Bazylianom do komunikacyi z kościo-łem przez korytarz, w górnej części ponad otwo-rem zwykle urządzany w staroświeckich mu-rach, czy należała do jakiego obwodu fortyfi-kacyjnego i kiedy? Nie byłem zdolny zbadać, a Syrokomla w r. 1853, oprowadzany przez ma-larza artystę i domorosłego archeologa Adama Szemesza, nie wspomina o niej w swoim arty-kule opisowo-artystyczno-historycznym<sup>1)</sup>. Była już rozebrana przy uprzątaniu ruiny, na której miejscu stanęły »sobór« czyli cerkiew kate-dralna prawosławna (1850) i gmach biur rzádo-wych (1852).

W pobliżu stał dawny Ratusz — piętrowa kamienica z podwórkiem obmurowanem, ale otwartem dla każdego przechodnia i bardzo nie-chlujnie utrzymywanem. Zapewne miał niegdyś

---

<sup>1)</sup> Mińsk w seryi pierwszej czasopisma p. t. »Teka Wileńska wydawana przez Jana ze Śliwina« (A. H. Kir-kora). Wilno 1867. Prof. Włodzimierz Spasowicz zapa-miętał kilka okienek w bramie ponad otworem i godził się na mój domysł, że służyły one do oświetlenia kory-tarza.

wieże, lecz moja pamięć nie przechowała jej kształtu. Został rozebrany do szczętu dla rozszerzenia placu, zwanego Wysokim Rynkiem. Nazwa ta stosowną była właściwie dla części, otoczonej z trzech stron »kramami« z towarem bławatnym, galanteryjnym, norymberszczyzną i suknam, poza kamienicą Kistera, która stała pośrodku i ciągnęła się prawie do połowy placu. Były to małe kramiki bez wystaw, z otwartymi na roścież drzwiami, przez które wchodziło światło i — zimno. Handlujące żydówki wynalazły oryginalny sposób ogrzewania kostniejących od mrozu członków swego ciała, dolnych przynajmniej: zasiadając na stołku, ustawiały garnek z żarzącymi węglami w ten sposób, iżby promieniujące z nich ciepło zatrzymywało się pod spódnicami. System taki panował też na ciasnej ulicy, spuszczałcej się w dół ku Nizkiemu Rynkowi i przy straganach, wypełniających ten błotnisty, ale tłumny rynek, sympatyczny zresztą dla mnie, ponieważ tam można było kupować gliniane koniki z dziurką w ogonie, przez którą łatwo było wydmuchać gwiżdżące tony. Niemuzykalne zaś koniki lub koguty z piernika bawiły oko złocistymi ozdobami, a nareszcie dogadzały słodkim smakiem podniebieniu — przy zjadaniu.

Po drugiej stronie od kamienicy Kistera w prostopadłej długiej kamienicy znajdowały się na parterze ogromne sklepy kupców rosyjskich:



Rakowa, Pulaszkina, Diechtiarowa, a na piętrze sale t. zw. redutowe, w przeciwległej zaś i równoległej posesyi, na rogu ulicy Kojdanowskiej imponująco wyglądał handel win z nazwiskiem firmowem Delpace, wymawianem zwykle: Del-pesz (zamiast Dilpes). Właściciel musiał być potomkiem jakiegoś Anglika lub »Szota« czyli Szkota, osiadłego tutaj po długiej wędrówce kupieckiej z portu bałtyckiego Prus Królewskich lub Książęcych w głąb Litwy. Obok narożnej kamienicy tenże właściciel posiadał drugą w podwórzu, za sztachetem żelaznym, dość okazałą. Zajmował ją bogacz Horwat Otton, gdy piastował urząd marszałka gubernialnego z wyboru szlachty. Odbywały się jeszcze sejmiki szlacheckie raz na trzy lata, nazwą czepiające się tradycyi politycznej W. Księstwa Litewskiego, ale pod rządem rosyjskim ograniczone do obioru sędziów i marszałka na swoją gubernię. Ożywiały jednakże miasto na parę tygodni, ściągały bowiem setki ziemian do hoteli, zajazdów, mieszkań wynajętych lub do własnych dworków i drewnianych pałaców, jak n. p. Osztorpa przy ul. Zacharzewskiej, błyszczącego bronzowymi okuciami okien. Napatrzyliśmy się wtedy pięknych cugów, rozmaitych zaprzęgów i liberyi przed salami redutowemi, gdzie odbywało się sejmikowanie, a wieczorami huczne zabawy. Dla kupców i dla faktorów był to czas najgrubszych

zysków i zarobków: zdobywali się też na delikatne, ale natrętne zabiegi, na wymowne pochlebstwa i uniżone ukłony przed splendorem szlacheckim. Wszak od czasów Katarzyny II i za Mikołaja »dworanie« byli uznawani za stan pierwszy w narodzie, uposażony przywilejem posiadania dóbr ziemskich, »zasiedlonych« poddanymi chłopami; używali niedostępnych ludziom innego stanu swobód pod względem rekrutacyi do służby wojskowej i podatku »podusznego« czyli osobistego, pogłównego; od urzędników zaś doznawali takiej względności, że zapuszczali sobie wąsy, a czasem i bródki hiszpańskie bezkarnie, wbrew przepisom cesarza Mikołaja. Starzy tytułowali się nazwami dawnych urzędników; wożono mię parę razy na spacer powozem jakiegoś pana »podkomorzego«. Widywałem staruszką Rogowskiego w polskim stroju, acz bez karabeli, chodzącego po ulicach Mińska w tym czasie, kiedy starodawne mody były prześladowane bezwzględnie. Żydom np. nie wolno było nosić chałatów długich, pantofli, pejsów i kołpaków obłożonych futrem. Policmajster (Budźko), spostrzegłszy taki ubiór, zatrzymywał swoją parę zrusyfikowanych »w orla« rumaków nagle, przywoływał konserwatystę-żyda rozkazującym skinieniem, opoliczkował go tuż na ulicy i odsyłał do kancelaryi policyjnej, gdzie pachol-



kwie za pomocą nożyc doprowadzali odzież do przepisanej ukazem miary.

Wracając na róg ulicy Kojdanowskiej, stwierdzimy, że druga połowa placu nie miała żadnej cechy rynku; trafniej też zwano je placem Katedralnym lub Gubernatorskim, albowiem punkty jego najwyższe, czyli przełęcz łagodnego pagórka zajmowała katedra rzymsko-katolicka, a sąsiedował z nią pałac gubernatora z dziedzińcem, otaczającym tyły kościoła i murów przyległych pojezuickich aż do ulicy Kojdanowskiej.

Rzecz dziwna, że Syrokomla, jako poeta obdarzony poczuciem estetycznym, mógł w 1856 r. napisać zdanie lekceważące: »Kościół wcale nie okazały... wnętrze ponure, ale nieimponujące« i wtrącić gorszące nieuctwem określenie, że »strzela w górę dwoma gotyckimi wieżycami«. Całość przedstawiała się wówczas zewnątrz i wewnątrz jako udatny dosyć okaz baroku jezuickiego, w którym wszystko nie »strzelało« w górę, lecz falowało i zaokrąglalo się w rozmaite krzywizny, o ile to możliwem było przy zachowaniu kolumn i arkad renesansowych. Ponurość pochodziła z malowideł al-fresco na sklepieniach i ścianach, oraz od obrazów, oprawnych w ciemne podmalowane pod mahoń ramy: ależ Jezuitom chodziło o wywołanie nastroju *mistycznego w pobożnych rzeszach. Ja też dziecinnemi oczyma z podziwem przypatrywałem*

się obrazom i dziś jeszcze pamiętam czterech ewangelistów z zagadkowymi symbolami, wymalowanych na ściankach dwu ambon, które osiadły na grubych słupach po obu stronach presbiteryum za balustradą. Dlaczego dwóch? Nie domyślałem się, widząc kaznodzieję zawsze na jednej. Dziś przypuszczam, że były przeznaczone do dysput publicznych pomiędzy dwoma teologami. Naturalnie, w połowie XIX wieku o takich dysputach zapomniano, zwłaszcza w okresie upośledzenia i przygnębienia katolicyzmu. W osieroconej od r. 1839 po śmierci biskupa Lipskiego dyecezyi administrował »nominat« odrzucony przez papieża, Paweł Rawa. Charakteryzowano niedołęstwo jego anegdota, jakoby podpisywał się drzemiąc: »Raweł Pawa«. Siadywał w ławeczce między stallami, w czarnej sutannie, ale w mrozy nawet, narażając się na zaziębienie, odsłaniał gwiazdę orderu rosyjskiego, noszoną na piersi.

Dopiero w r. 1853 otrzymał nominację cesarską i prekonizację rzymską Wojtkiewicz. Ingres i wspaniałe nabożeństwo biskupie czyniły na ludzi silne i radosne wrażenie. Podczas sumy w niedzielę i święta grała orkiestra Stefanowicza, z 24 osób złożona. Godzinami stałem wytrwale, żeby widzieć ceremonie wielkotygodniowe, święcenie Olejów i ognia i t. p. Wybrałem się na rezurekcyę o północy i serce skakało mi

z radości, kiedy celebransowi podano z podziemnej kaplicy przez otwór w sklepieniu monstrancję i kiedy się ozwała pieśń zmartwychwstania z towarzyszeniem instrumentów dętych i tolmbasów.

Ale katedrę Wojtkiewicz oszpecił, chcąc odświeżyć i rozjaśnić. Skasował owe dwie ambony i zbudował jedną, białą ze złoceniami; chór, na którym grywała orkiestra, wygięty w środku łukowato, ciemno malowany, przerobił na prostolinijną skrzynię białą i wyzłoconą suto. Zrobiła się przeto klótkliwa mieszanina barw i linii nowych z dawnymi, świadcząca o nieznajomości stylów, ani historii sztuki. Od mieszkańców Mińska nie słyszałem takich uwag ani wyrzekkań. Zdaje się, że przedewszystkiem cieszyli się z podniesionej ozdobności, z ubogacenia świątyni złotem i z okazałości nabożeństw. Pobudzał takie uczucia widok »soboru« prawosławnego, który stanął wprost katedry o parę set kroków jako groźny współzawodnik. Pospółstwo przeczuwało w nim wroga wiary katolickiej, z niechęcią spoglądało na wychodzące z niego procesye, przedrzeźniało kurantową jego harmonię dzwonów, wyśpiewując po białorusku: »Chadzi, siudy, dam blin, dam blin!« Tkwiło w tym blinie napomknienie, że prawosławni pociągają katolików do swego wyznania pokusą korzyści materyalnych, ponie-

waż przy nawróceniu każdego plebejusza wypłacali po 30 rubli, nie wiem z jakiego tytułu.

Widywałem kilka kościołów skasowanych i zamkniętych dawniej; słyszałem żalosne opowiadania o skasowaniu klasztoru i kościoła Pannien Bernardynek, ale kościół i ludny klasztor Bernardynów pozostały nienaruszone. Wchodziłem do kilku cel, służywałem do mszy O. Makarewiczowi, który wówczas odznaczał się nader szybkim załatwianiem czynności kapłańskich, a później, po kasacie klasztoru, zamieniwszy habit na sutannę księdza świeckiego, zastąpił jako rusyfikator nabożeństwa katolickiego. Nie należy go przecież poczytywać za przedstawiciela ogółu mińskich Bernardynów, cieszącego się poważaniem i sympatją ludności. Urządzali oni wspólnie obchód Niepokalanego Poczęcia N. M. P. Na parę tygodni przed uroczystością roznosili po domach afisze drukowane, a gdy się zaczęło 40-godzinne nabożeństwo, kościół bywał natłoczony, szczególnie na nieszpórach, bo mieli zawsze dobrego kaznodzieję. Nie mogę przypomnieć nazwiska, ale nie zatarła się bynajmniej w wyobraźni mojej postać i szlachetna gestykulacja jednego z najwymowniejszych zakonników; rozbrzmiewają mi dotychczas w uszach wygłoszone przez niego słowa: »Tak wołał niegdyś natchniony duchem Bożym wieszcz Jeremiasz«.

Istniały jeszcze Benedyktynki przy ulicy Zborowej. Nie widziałem żadnej z nich, ponieważ w kościele swoim śpiewały na chórze zakratowanym, a do klasztoru wzbraniała mi wstępu klauzura; podobały mi się wszakże ich głosy dyszkantowe, zawsze świeże firanki i kwiaty na ołtarzach, tudzież rozmaite ślady niewidzialnej gospodarki kobiecej.

Tak więc w niewielkim, kilkuset sążniowym obwodzie mieściły się wszystkie trzy świątynie katolickie Mińska owoczesnego; do odczytania czterech Ewangelij w procesyi Bożego Ciała trzeba było czwarty obraz ustawiać pod zamkniętymi drzwiami przerobionego kościoła dominikańskiego. Kościół franciszkański znikł całkiem z powierzchni ziemi; ślad istnienia przechowywał się tylko w nazwie ulicy Franciszkańskiej, która zaczynała się po drugiej stronie placu katedralnego, przecinała ulice Jurewską i Zacharzewską, i wkrótce dobiegała do przedmiejskich sadyb Lachówki.

Za miastem, na przedłużeniu ulicy Zacharzewskiej, na Złotej Górze stała kaplica cmentarna, drewniana, wcale nie złota i nie złocona, owszem uboga i tak szczupła, że przy liczniejszych pogrzebach i nabożeństwach zadusznych kaznodzieja mówił z ambony urządzonej pod gołem niebem, ale osłoniętej daszkiem. Drugi cmentarz, Kalwarya, silniej wraził mi się w pa-

mieć murowanym kościołem i nagrobkiem dziada mojego, Jana, towarzysza Brygady Petyhorskiej, dziś już nie istniejącym. Na tem miejscu spoczęły prochy rodziców moich, pogrzebane i przykryte kamiennemi płytami przez ich zacnego wyżej wzmiankowanego przyjaciela podczas pobytu mojego na dalekiem wygnaniu.

Cóżto popchnęło mnie i rówieśników moich na długi i szeroki trakt wygnańczy nad Wołgę, nad brzegi Uralu, albo za góry Uralskie?

Odpowiedź na to pytanie wywiąże się z psychologicznych spostrzeżeń. Opisawszy tedy mury i kamienice owoczesnego Mińska, winienem podać zarysy jego umysłowości i uczuć, ducha jego mieszkańców.

W dworku Ławrynowicza zbierałem wrażenia pierwotne aż do 12 roku życia. Przeprowadziliśmy się do drugiego domu, wyższego. Na dole, w suterynie mieścił się gospodarz; do naszego mieszkania prowadziły zewnętrzne schody z gankiem balkonowym, z którego zleciałem parę razy, rozbijając sobie głowę o bruk, ale okno z kuchni wychodziło na ogródek, do którego można było zeskakiwać bez szwanku, ponieważ poziom jego był wyższy od podwórza. Cała okolica była zaludniona przez dzieci uczące się prywatnie lub w szkołach rządowych. I tak, w dawnem mieszkaniu naszym osiadła pani czy panna Szymańska, utrzymująca kilkoro dzieci



do nauki początkowej. Czego i jak uczyła? Nie zdawałem sobie sprawy; ale jej system karny utkwił mi w pamięci. Malca skazała raz na klęczenie w oślej czapce, używanej podobno zwykle wówczas na pensjach żeńskich. Był to cylinder, sklejoný z arkusza sinej bibuły, która poprzednio służyła do opakowania głowy cukru; u góry przyszywano dwa lejkowate zwoje, zwane oślemi uszami. Ośla żywego nikt w Mińsku nie widział, ale o jego uszach dzieci wytwarzały sobie z rysunków pewne wyobrażenie, komiczne i uwłaszczające inteligencji tej głowy, którą przyozdabiały. Podrażniony drwinami kolegów malec zawołał: »ja nie osioł! Ja jestem arfirej z firongami«, t. j. archirej z chorągwiami.

Nie chodzi tu o trafność porównania, ale znamiennym jest fakt, że w mózgu tak niedokładnie władającego mową dzieciaka znajdował się obraz biskupa prawosławnego, oczywiście Zubki, rozgłośnego wielce na całej Litwie. My wszyscy, mieszkańcy Archirejskiego zaułka, wchodząc na ulicę Zacharzewską i na rynek Nowego Miasta, omijaliśmy aleję, prowadzącą do pałacu archireja i kaplicy jego domowej, zdala i bojaźliwie przypatrując się w dni świąteczne, jak tam jadą lub idą urzędnicy, oficerowie, żołnierze. Pałac ów pozostał mi nieznanym nawet ze strony zewnętrznej, zasłaniały go bowiem drzewa obszer-

nego ogrodu, podobno pięknego, jak dowiaduję się z drukowanych opisów.

Aż na plac Nowego Miasta wybiegałem często. Odbывała się tam musztra żołnierzy. Zaciekawiały mnie ich marsze, biegania, rękoczynny z bronią, ale przerażało bicie pięścią po twarzy lub pałą po grzbiecie przez podoficerów i groźne krzyki oficerów. Zdarzyło mi się widzieć tych biedaków na kwaterze, jak nacierali kredą swoje białe lederwerki, jak czyścili guziki, łątali buty, prali swoją bieliznę, układali swój pakunek w tornistrach, gotując się na przegląd generalski, a wyrzekając na zły gatunek przedmiotów, wydawanych im przez »naczalstwo« i na setki pałek, wyznaczanych za łada uchybienie. Widziałem chłopów naszych, przywożonych do poboru rekruckiego z kłodami drewnianymi na nogach dla uniemożliwienia ucieczki i wyprowadzanych z izby poborowej z ogoloną połową głowy: przednią (»łob«) lub tylną (»tył«). Ostatni wychodzili z rozradowaną twarzą, ponieważ byli uznani za niezdatnych do służby wojskowej, pierwszych zaś oczekiwała 25-letnia męka w szeregach bez nadziei otrzymania kiedykolwiek rangi oficerskiej. Pocieszyła mnie wiadomość, że urodzenie w stanie szlacheckim zabezpieczyło mnie od smutnej doli; stawali mi jednakże w wyobraźni nielitościwi oficerowie i ge-



nerałowie, gdym słuchał śpiewanych przy fortepianie żalów poety:

Wśród domu mego może głosem pana  
Wróg rozkazuje w służalców swych tłumie;  
Darmo go błaga matka zapłakana:  
Dzikość czułości serca nie rozumie.

Wcale odmienne obrazy zasnuwały się w duszy mojej, gdy ojciec opowiadał mi o zwycięstwie Jagielly i Witolda pod Grunwaldem, albo o dziadku, po którym pozostały części munduru i ładownica kawalerzysty petyhorskiego, albo o dawnych swobodach, utraconych przez lekko-myślność szlachty przy nadmiarze szczęścia.

Podrastając, szukałem towarzystwa uczniów gimnazyalnych. Odkryłem po drugiej stronie ulicy czyli zaułka stancję, na której mieściło się kilkunastu chłopców z guwernerem. Wciskałem się między nich, żeby przypatrzeć się, jak oni się uczą i jak wydają lekcye. Kulawy Mejsztowicz niefortunnie radził sobie z łaciną; koledzy przymawiali mu po białorusku: »Hic, haec, hoc, Kładzi się waspan na pieniok, Za takije zbrodni, Spuszczaj waspan spodni!« Pan guwerner bił łapy liną i kręcił za uszy leniuchów. Ale bywałem też świadkiem ich radości, jeśli na wieczrę gospodyni zastawiła »mnichy«, potrawę ulubioną, ale niewybredną, bo składała się z pokrajanych groszowych obwarzanków ży-

dowskiego wypieku, zalanych wrzątkiem z niewielką ilością masła.

Druga stancya znalazła się tuż obok naszego ogródka, liczniejsza, najmniej 20 malców licząca. Na obszernym dziedzińcu bawili się oni w piłkę i w inne gry. Jak tylko gwar gromady doszedł uszu moich, przełaziłem przez parkan i przyglądałem się grze w »kaszkę«, w »ściankę«, w jakieś gonitwy za ofiarą losu, lub mniejszej zręczności, wskazane przez wodzireja, które wygłaszał, obchodząc koło, takie słowa: »Ewa, Dewa, Res, Kwinta, Zając, Pies«. Wskazany palcem przy wyrazie Zając, musiał natychmiast umykać, a Pies rzucał się w pogoń.

Trzecią stancję utrzymywała panna Wisniewska, osoba 50-letnia, poważna i poważana. Przyjaźniła się z nią moja matka; przy odwiedzinach tedy bywałem naprzód w jej pokoju i zjadałem przysmaki, a z czasem zapoznawałem się z pokojami uczniowskimi. Były utrzymane porządnie; zalegały całe piętro kamienicy przy ulicy Dominikańskiej; w umeblowaniu różnie nie dostrzegałem, ale pod względem jadła zachodziła klasyfikacya pupilów na 40-rublowych i 50-rublowych, a więc na uboższych i bogatszych. Pierwsi poprzestawać musieli na dwóch potrawach, drudzy dostawali trzecią. Którzy z nich osiągałi większą korzyść? Czy zjadacze leguminy, czy zwolennicy wstrzemięźliwości?

Kwestyę tę przekazuję psychologom do rozważania. Tu zaznaczam tylko wartość owoczesną pieniędzy, wartość owych 10 rubli, które mogły wytwarzać taką różnicę między kolegami, a jeszcze bardziej owych 40 rubli, które wystarczały przez cały rok na utrzymanie malca, na płacę dla guwernera i na wszelkie dostatki samej panny Wiszniewskiej.

Przyszedł wreszcie i dla mnie czas nauki szkolnej. Ojciec mój nie kwapił się korzystać z edukacji publicznej, lecz przez lekcyę prywatne zamierzył zastąpić naukę I i II-ej klasy. Zrozumiałem później: dlaczego? Pod względem pedagogicznym plan jego był hazardowny: uczyć miał wszystkich przedmiotów jeden guwerner, wybrany wprawdzie z pomiędzy celujących uczniów klasy VII-ej, ale przecież nie wykwalifikowany z wiedzy i doświadczenia. Szkoła była już zrusyfikowana. Ucho moje było już oswojone z mową białoruską pospólstwa wiejskiego i wieśniaków, przywożących do miasta produkty żywności lub drzewo opałowe: łatwiej tedy, niż ucho Mazura, przyswajało dźwięki wielkorosyjskie, ale podręczniki były niezrozumiałe z powodu stylu abstrakcyjnego i układu dedukcyjnego. Pan Pawłowicz, guwerner stancyi z przeciwną, poprzestawał na wyznaczaniu pewnej liczby wierszy paznogciem przy najkrótszem objaśnieniu treści i na przesłuchaniu mego »wy-

dawania« lekcyi poprzednio »zadanych«. Zabierała taka czynność godzinę jedną, opłaconą jednym rublem miesięcznie. Szczęściem umysł mój posiadał wiadomości elementarne i pewną wprawę do pracy z udzielanej mi poprzednio przez ojca nauki języka polskiego podług króciuchnej gramatyki Ks. Adama Krasińskiego, Pijara, późniejszego biskupa Wileńskiego. Mógł też ojciec udzielać mi wyjaśnień z łaciny i geografii. Drugi mój guwerner, Siwicki, odznaczał się podobno biegłością w matematyce: chodziłem do niego na ulicę Jurewską. Nie czułem się mocnym w rozumowaniu matematycznym, w rozwiązywaniu zawikłanych zadań; posługiwałem się domyślnością; w innych zaś naukach wdrożyłem się do zapamiętywania tekstu podręczników dosłownie i w recytowaniu bez zająknienia, »gładko«, wedle zaleceń ojca.

Pierwsze wyobrażenie o sztukach pięknych powziąłem bez żadnych lekcyi od Franka Ławrynowicza. Był to syn gospodarza naszego, szewca, starszy odemnie, uczeń klas wyższych gimnazyalnych, niepospolicie zdolny i pomysłowy. Nie wiem skąd nauczył się rysować, malować, robić transparenty, dekoracye teatralne i t. d. Zająwszy mieszkanie po Prószyńskich, ozdobił ścianę dywanem, wymalowanym al fresco. Były tam kwiaty na tle czarnem i napis niezrozumiały dla mnie do dziś dnia: »Hołd dzie-

ków». Zorganizował z kolegów swoich trupę dramatyczną i urządziwszy w »odrynie« teatr, dał jakieś widowisko, które mi się bardzo podobało, chociaż treści nie zrozumiałem zapewne, ponieważ nie zapamiętałem. Później byłem kilka razy w teatrze miejskim na placu Katedralnym. Tu aktorowie prawdziwi grywali najprzód większą sztukę po polsku, potem na zakończenie mniejszą sztukę po rosyjsku. Wraziła mi się w pamięć wystawa Maryi Tudor (niewątpliwie Wiktora Hugo), szczególnie procesya pogrzebowa, przerażająca czarnymi maskami mnichów. W tym czasie też usłyszałem imię Mickiewicza i uczulem czar jego poezyi dzięki goszczącej u nas siostrze mojej ciotecznej, Augustynie Weltczkównie. Ładna, dobra, czuła, głosem mile brzmiącym wpoila mi w pamięć na całe życie ustępy z Konrada Wallenroda: Wilię, »Któż me westchnienia« i kilka innych utworów.

Latem 1850 przyszedł na mnie strach wielki. Miałem stanąć do klasy III-ej. Uczyłem się pilnie pod jabłonią w ogrodzie i na strychu. Deklamowałem głośno geografię Obodowskiego, matematyczną czyli astronomiczną (w rozdziale I-m), nie rozumiejąc wcale obrotów ziemi, ani szerokości i długości (широта и долгота), bom nie widział nie tylko żadnego tellurium, ale i globusu. Najcieęższy frasunek został złagodzony przez ojca mojego, który, znając dwóch profesorów,

zaprowadził mię do nich. Egzaminowali mię oni w domu, łagodnie, sadzając na kolanie i częstując cukierkami: geograf Szablowski i matematyk Hrynkiewicz. Formalistyczna biurokratyczna rosyjska jeszcze nie wypłeniła polskiej tradycji pedagogicznej: więc napisane przez nich poświadczenia na kartkach były przyjęte w gimnazjum. Inne egzamina, składane w klasie II-ej, poszły jak z płatka. W dniu promocyi wszedł inspektor Hołowiński, Polak, brat metropolity, i czytał po rosyjsku listę. Usłyszawszy swoje imię i nazwisko — »Fadiej« K., zabrałem wszystkie swoje książki, piórniki, kałamarz i linie, wkroczyłem do klasy III-ej, we drzwiach dostałem szturchańca od jednego z zaczajonych weteranów, leniuchów przeszłorocznych, dopadłem jednakże do ławki i złożyłem na pulpicie swój bagaż. Czulem się ubezpieczonym na wszelkie lekcye, gdyby je mieli zadawać odrazu wszyscy profesorowie. Ale żaden profesor nie wszedł; uwolniono nas do domu, bo lekcye miały się zacząć od jutra.

Otóż i nastał nowy okres życia mojego.

W klasie III-ej byłem najmłodszy wiekiem, jako 11-letni; większość liczyła po lat 13—14; znajdowało się kilku staruchów przeszło 20-letnich. Ci zasiadali na ostatniej tylnej ławce i urządzali tam jakieś swoje zabawy: Juraha, Prorwicz, jedyny prawosławny, ale mówiący po



polsku, Korycki Tatar, muzułmanin, podobno żonaty, człek stateczny, ale dziwnie na naukę obojętny. Wyrwany przez profesora, podnosił się powoli, powiadał, że nie jest przygotowany (не приготовилъ) i siadał w niezmaconym spokoju ducha. Tak przesiadywał lat 4 na tem samem miejscu. Zresztą nikomu nie zawadzał, ani uprzykrzał się.

Z punktu widzenia społecznego wszystkich uczniów ujednastajniała odzież jednakowa, ściśle podług »formy« czyli wzorów rządowych przestrzegana — od czapki do spodni i butów. Do klasy przychodziliśmy w wice mundurach, t. j. surdutach ciemnozielonych z kołnierzami ponsowymi i dwoma rzędami guzików mosiężnych; do sali popisowej i na nabożeństwa galowe wymagany był mundur frakowy z galońami na kołnierzu, zapinany na 9 guzików w jednym rzędzie. Odróżniali się w ubraniu codzienną kurtką interni, mieszkający w gmachu gimnazyalnym za drzwiami parapetowemi, które się nie otwierały dla nas. Mieli oni tam całkowite utrzymanie, guwernerów, lekarza, dozór inspektora i dyrektora; płacili po 250 rubli rocznie, a więc pochodzili z bardzo zamożnej szlachty. Nazywał się też ten zakład pensyonatem Szlachetnym czyli Szlacheckim (Благородный Пансіонъ) zapewniał swoim wychowañcom siedzenie w pierwszych ławkach bez względu na stopnie z po-

stępów naukowych i — niewymieniane faworyzowanie przy atestacyach kwartalnych lub rocznych. Pewien mniej zamożny ziemianin, Baranowski, ponosił tak wielki koszt, pragnąc zapewnić rangę »primusa« synowi swemu, a współzawodnikowi memu, bardzo pracowitemu, w matematyce bieglejszemu odemnie, ale w deklamacyi mniej utalentowanemu. Siedzieliśmy obok i walczyliśmy o stopnie bez okazywania zazdrości przez cały kurs szkolny, aż po egzaminach ostatnich obadwaj dostaliśmy srebrne medale, a zwycięstwo w postaci złotego medalu odniósł uczeń trzeci, mój dobry i wierny przyjaciel. Baranowski nie był wcale typem pensyonarza, lecz najrzadszym wyjątkiem. Prawdziwi panie nie ubiegali się o prymusostwo, zużytkowali przywileje swoje na zdobycie promocyi, nas nie urażali: więc kurtka nie psuła stosunku koleżeńskiego. Utrzymywała się tradycyjna równość szlachecka. Wszak wszyscy byliśmy szlachtą: bene nati, lubo nie wszyscy possessionati. Ze stanów »opodatkowanych« dostać się do gimnazjum mógł ktoś chyba za szczególną protekcją. Takich plebejuszów, co to pobierali naukę niegdyś za posługi przy opalaniu pieców i zamiataniu klasy, albo przy osobach paniczów, nie było w szkole zrusyfikowanej. Żydzi wchodzili do niej wyjątkowo: ja spotkałem się z dwoma w klasie V-ej, czy VI-ej. Jeden, nazwiskiem



Goldberg, przybył z Pińska, drugi Uraszew, był synem piekarza z ulicy Romanowskiej. Dziwiło nas, że mówili po rosyjsku i, siedząc między Polakami, nie nauczyli się języka polskiego. Musieli mieć w głowie jakąś teorię polityczno-utylitarną. Uraszewa nieraz nawiedzałem w interesach szkolnych, mieszkał bowiem blisko, w małym domostwie z rodzicami swemi, którzy mówili między sobą żargonem staroniemieckim, a ze mną po polsku. Ogół Żydów mińskich nie znał języka wielkorosyjskiego; nad ich kramami szyldy czyli znaki były wypisywane po polsku, a mój Uraszew, siedząc w kącie nędznej izby, do której co chwila wchodziło po kilku chałciarzy na narady z jego ojcem, ślęcząc nad rosyjskimi podręcznikami przy cienkiej świeczce »szabasówce«, budował sobie jakąś wymarzoną karierę cierpliwie, wytrwale, tajemniczo. Nie okazał nam wrogiego usposobienia, ale też nie przylgnął do nas, pozostał do końca obcokrajowcem, cudzoziemcem wśród siedzib naszych. Zdobywszy patent, wyjechał podobno do Charkowa na uniwersytet. O dalszych jego losach nie nie zasłyszałem.

Obserwacye te robiłem na nowym mieszkaniu w jednym z domów Jóźwikiewicza, zajmujących obszerny plac na rogu ulicy Zborowej i Romanowskiej. Miałem stąd dalszą drogę do gimnazyum, położonego w końcu ulicy Francisz-

kańskiej, ale blizki wylotu w pole, na trakt kojdanowski, pod las Niemorszański (dziś nieistniejący), gdzie młodzież urządzała majówki i grywała w palanta. Trzeba było przechodzić koło »ostrogu«, t. j. murowanego czworoboku z basztami okrągłymi na wszystkich czterech rogach. W tej fortecy z pozoru średniowiecznej, ale zbudowanej w XIX wieku, siedziało kilkuset więźniów. Byłem tak szczęśliwy, że nie napotkał nigdy okropnego pochodu skazańców i kata na Nizki Rynek, gdzie wykonywane były publiczne wyroki srogiego wówczas sądownictwa; z opowiadań tylko wiedziałem o wozach specjalnych, o szafocie, o smaganiu knutem, który wyrwał ciało kawałkami, o przewożeniu skatowanego człowieka napowrót do więzienia, żeby go leczyć w szpitalu, a następnie, jeśli nie umrze, pędzić na Sybir do »katorgi«.

Wiedziałem, że kary takie wymierzano złoczyńcom za ciężkie zbrodnie: jednakże uczuwałem jakąś trwogę, kiedy w klasie uczono nas »Familii carskiej« i na pierwszym miejscu kazano wyliczać tytuły Mikołaja I Pawłowicza. Po wymienieniu imion wszystkich członków panującego domu, trzeba było jeszcze zapamiętać ministra, kuratora i wice kuratora okręgu naukowego wileńskiego. Wyraz: rząd (правительство) był wymawiany z taką pokorą, że o jakiegokolwiek opozycyi rozkazowi jego mógł pomyśleć

chyba całkiem nierozsądny zuchwalec albo wariaty. Pokazali mi też koledzy szkolne postrachy: karcer, czyli ciemnicę z okratowanym otworem we drzwiach pod schodami i kancelaryę, w której ćwiczone delikwentów różgami za decyzją i w obecności pana inspektora. Katowską tę czynność wykonywał Pauluk, szwajcar, nie-mile przez nas widziany: okazywaliśmy sympatyę drugiemu szwajcarowi, Łukaszowi, który podobno służył w wojsku pod Napoleonem, miał dużą łysinę i sumiaste wąsy, dzwonił na zmianę lekcyi i swawolników sam karał, dając im »kwasu«, t. j. przytrzymując za szyję i kręcąc ściśniętą pięścią po głowie. Pomimo wszelkich postrachów powstawał gwar i wrzask na korytarzu, jak tylko ozwał się dzwonek; ze wszystkich klas nagle wypadły gromady, galopując, harcując; wezwania inspektora do spokojnego chodzenia skutkowały na małą przestrzeń dookoła jego osoby. Ale po 10-ciu minutach powtórne dzwonienie zapędzało nas do ławek. Chwila jeszcze — i wchodził profesor z dużą księgą in folio w ręku: to dziennik z rubrykami na stopnie oraz na noty o lenistwie i swawoli.

Podobała mi się nauka w klasie III-ej. Mój dawniejszy znajomy Ferdynand Szablowski miał wprawdzie teraz inny wygląd w granatowym podług przepisów skrojonym i starannie wyczyszczonym garniturze, nie wymówił nigdy ani

słówka po polsku; ale ładnie i zręcznie kreślił kredą na tablicy mapę tego kraju, albo prowincyi, gubernii i t. p., o których mówił następnie, wykładając lekcję. Kazał mi przychodzić do swego mieszkania, żeby pokazywać mapy i grafiki kolorowane. Zachęciłem się też do rysowania i malowania map; przechowałem do dzisiaj trochę tych prac kartograficznych, a w głowie noszę liczbę miast ze wszystkich części świata i powiatów cesarstwa rosyjskiego większą, niż przeciętny uczeń szkół dzisiejszych. Hryniewicz, dużo starszy wiekiem, uczeń uniwersytetu wileńskiego uczył dobrze algebry, a bawił nas dziwnościami, peruką, frakiem przestarzałym, wytartym, potem przenicowanym i odświeżanym, szybką zmianą gniewu i czułości z odpowiednią zmianą języków rosyjskiego i polskiego. Przed każdym nowym rozdziałem zapowiadał: »eto budiet trudno, oczeń trudno, ale przy uwadze i pilności nauczyć się będzie można«. Potem krzyknął: »słuszat' i prymieczat'!« i zaczyna wykladać po rosyjsku, tłukąc kredą po tablicy. Niecierpliwił się, jeśli mu uczeń źle odpowiedział, chwycił go za ucho lub za policzek dwoma palcami i pociągał na środek klasy, gdzie kazał klęczeć, poczem zwracał się do wszystkich z morałami. Ilustrował korzyści z nauki osiągnięte przykładem doktora Moszczeńskiego, który wystawił piękną kamienicę

(przy ulicy Franciszkańskiej), a nieuków przykładem »graфа Przewdzieckiego«, który w Paryżu bryczki plecie (na emigracyi, po utracie majątku przez konfiskatę). Miał dom własny i blizki już termin emerytury. Niemiec Schmel i Francuz Jacquot nie obarczali nas pracą, a my wzajemnialiśmy się za to hałasem i zbytkami. Księżda lubiliśmy, chociaż bił nam łapy tabakierką swoją — niebardzo boleśnie; on jeden miał prawo uczyć po polsku Historji Świętej, katechizmu i »cesarzówki«; przy nim tylko odmawialiśmy »modlitwę« szkolną po polsku; jeśli zaś pierwszą lub ostatnią lekcję miał inny profesor, to cenzor odmawiał modlitwę po słowiańsku: »Prebłagij Gospodi i t. d.« Nauczyciel języka rosyjskiego Bogojawlenski, żwawy staruszek, osłodził nam trudy nad gramatyką Wostokowa czytaniem Robinsona Cruoe. Słuchaliśmy z zapartym oddechem, żeby nie stracić ani jednego wyrazu z ciekawej powieści. Leniwym i gnuśnym był drugi Rosyanin, Rjazanski; uczył łaciny możliwie jak najmniej: wykreślając zbyteczne, zdaniem jego, ustępy z krótkiej i suchej gramatyki Bielustina i tłumacząc przez cały rok jedną biografię Miltiadesa z Korneliusza Neposa, a przed egzaminem przyjmował od ucznia bilety znaczone w ten sposób, iżby każdy mógł wyciągnąć pytanie ze swojej trzeciej części kursu. Nie rozumieliśmy, ile szkody wyrzą-

dzał nam taki pedagog; nie umiałem i nie chciałem jednakże korzystać ze znaczonych biletów, bo wstyd powstrzymywał mię od wyszukiwania znaków, gdym stawał przy stole, za którym siedzieli asystenci Rjazańskiego, egzaminatorowie. Dyrektor Fischer zachowywał się spokojnie, przesiadując w swoim mieszkaniu, na parterze.

Nadzwyczajne zaniepokojenie wynikło pod koniec 1851 r., kiedyś się znajdował już w klasie IV-ej. Miał przyjechać z Wilna Ilja Gawryłowicz Bibikow Wtoroj, generał gubernator 4-ch gubernij litewskich, mianowany kuratorem okręgu naukowego wileńskiego. Oczyszczano ściany, okna, podłogi; nam kazano przyjść na lekcye w mundurach galowych. Ja takiego munduru nie posiadałem: więc nie poszedłem do gimnazjum. Aliści przybiegł zadyszany posłaniec z wezwaniem, abym szedł w wice-mundurze jak najprędzej. Lece. Przy wejściu do gmachu mijam inspektora i dyrektora, którzy mi każą iść do klasy. Koledzy siedzą nieruchomo, w milczeniu absolutnem. Zająłem swoje miejsce w pierwszej ławce z brzegu. Byliśmy nauczeni odpowiadać na powitanie głośnym okrzykiem: »Zdrawja żelajem Wasze Wysokoprewoschoditelstwo!« I usłyszeliśmy kroki, brzęk ostróg, okrzyki takie powtarzane po kolei w każdej klasie. Nareszcie ujrzelśmy w swojej klasie generała o twarzy marsowej, w mundurze orderami i wstęgą ozdo-



bionym. Pozdrowił nas, usiadł na pulpicie ławki i kazał sobie przedstawić najlepszego ucznia z geografii. Szablowski skinął na mnie. Stałem śmiało przed srogiem obliczem. »Wież mię z Petersburga do Konstantynopola«. Obrałem drogę morską i dopłynąłem pomyślnie. Ale z powrotem kazano mi jechać lądem z powodu przebicia dziury w łódce. Dojechałem tylko do Kijowa i utknąłem. General zadowolnił się tem i powołał celuującego ucznia z matematyki. Był nim Andrzejewski, pensyonarz Hrynkiewicza. Rozkaz brzmiał: »А веѣ креѣ (Возьми ка мѣлокѣ). Kupiono 2 arszyny płótna po 2 i  $\frac{3}{4}$  kopiejki. Ile zapłacono?« Andrzejewski obliczył natychmiast — i na tem skończył się egzamin wizytatorski.

Myśmy nie usłyszeli żadnej nagany, ale dyrektor Fischer dostał dymisyę, czy translokacyę. Przyjechał nowy dyrektor: Diesnickij, rodowity Moskwicin, wytresowany wedle instrukcyj służbowych. Obchodził wszystkie klasy najprzód odrazu, potem na wyrywki niespodzianie co kilka tygodni. Bardzo starannie ubrany w garnitur granatowy petersburskiego kroju, ostrzyżony nie po żołniersku, ale krótko o tyle, żeby można było zastępować grzebień palcami (jak na mędrca przystało), wygolony aż do wierzchołków uszu, w skrzypiących butach, ukazywał się nam z wyrazem powagi, lekkim pochyleniem głowy zaszczycał nas i profesora, poczem siadał w ławce

i przysłuchiwał się wykładom lub odpowiedziom naszym. Na egzaminach prezydował nieustannie, szczególnie w klasie VII-ej, a wówczas nikt nie mógł się ruszyć z miejsca nawet podczas pauzy. Na korytarzu stawał inspektor Hołowiński przy drzwiach zamkniętych, żeby odpędzać dalej i uciszać hałaśliwe tłumy. Raz mi się zdarzyło zapędzić się w galopie do zakazanego obwodu i upaść wprost na brzuch inspektora. Musiałem klęczeć do końca pauzy razem z kolegą, który mię popchnął.

Od kar dotkliwszych osłaniały mię fawory Diesnickiego, który upodobał sobie mój akcent w wymawianiu wyrazów rosyjskich i dźwięk głosu »srebrzysty«, chwalił mię i obdarzał książkami, kiedy względem innych, względem ogółu uczniów występował groźnie i Nielitościwie, wprowadzając w wykonanie jakiś system, obmyślony podług nakazów władzy wyższej. Gimnazjum posiadało ogromny dziedziniec, ale nas nie wypuszczano na wolne powietrze: po wakacyach ujrzelśmy na schodach wstawione drzwi sztachetowe, politurowane; stawał przy nich Pauluk po to, żeby nie wpuszczać żadnego ucznia podczas zmiany bez rozkazu inspektora. Byliśmy więźniami od 9 z rana do drugiej i pół po południu, wypuszczanymi tylko na korytarz nie wentylowany, lecz zaopatrzony we dwa ustępy całkiem prostaczej konstrukcyi, bez water-klo-



zetów. Dowiedzieliśmy się następnie, że nie jest szanowaną nietykalność ciała w klasach wyższych (IV—VI), zdarzyło się bowiem, że kilku moich kolegów z klasy V-ej odbywało bolesną peregrynację na dół, do kancelaryi, za jakieś hałasy, w których i ja byłem zanotowany, lecz moja kara ograniczała się do klęczenia podczas lekcyi następnej. Ale jakąż okropną ceremonię urządzono dla nas, gdy znaleziono na stancyi u celującego ucznia klasy VI-ej wiersze niecenzuralne patryotyczne! Wyprowadzono wszystkie klasy na korytarz, czytano wyrok czy decyzję zwierzchności szkolnej i osmagano delikwenta publicznie różgami, podobno za zgodą ojca jego. Nie widziałem samej operacyi i nie słyszałem dokładnie wyroku, ponieważ stałem za daleko od miejsca egzekucyi; nie dopytywałem się też u kolegów, oni zaś nie rozwodzili się z opowiadaniem. Potem doszła nas głucha wieść o większem przestępstwie politycznem, spełnionem w pensyonacie szlacheckim: pokrajaniu twarzy, szczególnie oczu, na portrecie cesarza Mikołaja. Tu już wdali się żandarmi; winowajca został oddany w żołdacy, t. j. na szeregowego do wojska. Nie zrażony takim wypadkiem wychowania rządowego w internacie arystokratycznym, Diesnickij utworzył dla uboższej młodzieży wielkie koszary pod nazwą stancyi ogólnej (общая квартира). Za 40 lub 50 rubli rocznie uczeń dosta-

wał 2 lub 3 potrawy na obiad, śniadanie, wieczerzę, łóżko przy ścianie, miejsce dla uczenia się przy stole, zajmującym środek sali, i dozór guwernera, siódmoklasisty, który miał naszyte na wicemundurze naramienniki, jako oznakę zwierzchnictwa nad jedną salą, nad wszystkiemi zaś był przełożonym profesor, obowiązany do czuwania przez wieczór, w nocy i rano w dni powszednie, a przez całą dobę w święta, dopóki nie zluzował go drugi profesor. Wynajęto kamienicę najpierw na ulicy Zborowej wprost kościoła PP. Benedyktynek, potem wprost gimnazyalnego podwórza na rogu ulicy Franciszkańskiej i Zacharzewskiej. Kuchnię podjęła się prowadzić, o ile przypominam, pani Kowerska, »ciotka gubernska« (na innej stancyi gospodarowała Korbutowa, »ciotka powiatowa«). Dozorcami zostali dwaj profesorowie: ponury, surowy Grebienszczykow i gnuśny Rjazanskij. Na ulicy jeden z nich musiał iść na czele maszerującej parami kwatery; guwernerowie prowadzili każdy swoją salę na podobieństwo oficerów i żołnierzy. Cała kolumna liczyła około 250 głów. Wszystkie stancye prywatne, a więc i panny Wiszniewskiej, która posłużyła za wzór, upadły, ponieważ rodzice, mieszkający poza miastem, byli zmuszani do umieszczania synów na rządowej. Po wyjeździe Grebienszczykowa na inną posadę uciążliwe obowiązki jego, w braku chętnego Rosya-

nina, wypadło powierzyć Polakowi giętkiej natury, Ganowi.

Diesnickij nie wyplenił porywów ducha polskiego w młodzieży, owszem podniecił je, ale Bibikowi dogodził. Przed powtórnią jego wizytacją kuratorską egzaminował nas pilnie z »Familii Carskiej«, uczył głośnego i zgodnego wykrzykiwania »Zdrawja żelajem«, kazał czyścić guziki i buty, doprowadził nas do żołnierskiego porządku. Pauluk dostał nowe ubranie, podłogi lśniły zapewne od wosku, korytarz i klasy wykadzano jakąś smołą, sypaną na żar w kozubkach z kory. W ostatniej chwili wszakże zaprowadzono wszystkie klasy do sali popisów i ustawiono szeregami. Bibikow tym razem nie zadawał nam żadnych pytań, kazał tylko wychodzić po kolei z szeregów, zbliżać się do niego, obrócić się tyłem i wychodzić za drzwi. Ja miałem już mundur galowy; więc brałem udział w przeglądzie generalskim, czyniąc zadość wszelkim wymaganiom.

Jakże atoli stała kwestya nauki?

W klasie IV-ej geometryę wykładał Rodziejcz doskonale: dowodzenia jego były wzorem logicznej konsekwentności i ścisłego wysłowienia. Podziwialiśmy jego biegłość w kreśleniu figur na tablicy, szczególnie obwodu koła jakby cyrklem. Ale cieszyliśmy się krótko jego zalecaniami. Zamienił zawód nauczycielski na posadę

radcy rządu gubernialnego aż w Wiatce. Następca jego, Gan, prowadził geometryę i fizykę aż do końca kursu nieźle. Grebienszczykow straszyl nas niedługo retoryką swoją czyli raczej Koszańskiego, całkiem nieprzydatną do »wynaajdywania myśli« zapomocą pewnych zapytań; następca jego, Wasiljew, uczył nas deklamacyi na kilku fragmentach przesadnie. Bardzo nam się podobał profesor historyi, Kazanskij: opowiadał ciekawe bajki o Ninusie, Semiramidzie, Cyrusie, a nie wymagał recytowania napuszystych, niezrozumiałych frazesów z książki Smaragdowa. Historya o tyle uszlachetniła go, że nie tyranizował naszych umysłów; zresztą był człowiekiem niskiej kultury: widziałem go raz na jakimś wieczorku imieninowym, jak się raczył wódką i wyśpiewywał »На улицѣ двѣ курицы съ пѣтухомъ дерутся. Хи, хи, хи, Ха, ха, ха. Побѣдили пѣтуха.« Nie dokończył historyi starożytnej i opuścił nas, wysłużywszy emeryturę. W klasie V-ej ukazał się wychowaniec Instytutu Pedagogicznego, Scheibe, młody, elegancki, ugrzeczniony profesor, ale w wiedzę nie zasobny. Chociaż nie słyszeliśmy o Cezarze i o cesarstwie rzymskiem, zadawał nam z podręcznika historyę średniowieczną, nie kusząc się o wytłomaczenie jej zagadnień i chaosu. Trzeba było chwytac pamięcią to, czego niepodobna było wyrozumieć. Pamiętam też do dziś dnia taki okaz stylu

historycznego: »Ale Hildebrand dlatego tylko ujął za obosieczny miecz Piotra, żeby dokonać wysokich swoich zapoczątkowań« (Но Гильдебрандъ для того только принялъ обоюдоострый мечъ Петра, чтобы довершить свои высокія начинанія). Bóg raczy wiedzieć, cośmy pletli o walce Gwelfów z Gibellinami, kiedy nas egzaminował inspektor okręgowy Orłow, mający obowiązek sprawdzania rezultatów pedagogiki szkolnej. Ten wizytator, przyjeżdżając parę razy do roku, zadawał się jednakże erudycją naszą i żadnego profesora krytyką swoją nie trapił. Nawet Rjazanskiј nie doznał żadnej peturbacyj.

Myśmy sami uczuli potrzebę ratowania się od nieuctwa zapomocą samouctwa — nie wszyscy, naturalnie, ale spora gromadka. Kolega tępego umysłu, Gryfin, kupił sobie ogromny słownik łaciński Kronbergera i uczył się z niego codziennie pewnej liczby wyrazów. Docierał już do połowy książki, a mimo to sklecić kilku zdań łacińskich nie mógł. Ja, czując pociąg do historyi, czytałem, robiąc notatki, Rautenstrauchowej »W Alpach i za Alpami«, Dziekońskiego »Historyę Hiszpanii«, Rogalskiego »Historyę Węgier« i t. p. Z takiej lektury nie dawały się tworzyć wyobrażenia powszechno-dziejowe. Szczęściem zaproponował mi pastor luterński, czcigodny i światły Williams, udzielanie lekcyj pensyonarzom jego. Płacę wyznaczył wysoką, 6 rubli mie-

sięcznie, i chętnie użyczał mi książek ze swej biblioteki niemieckiej. Syn jego był moim kolegą, stałym sąsiadem w pierwszej ławce i przyjacielem, chociaż różniliśmy się temperamentem, wyznaniem religijnem i językiem domowym. Mogłem każdej chwili wzywać jego pomocy w wyborze stosownych książek i w pokonywaniu niemczyzny, której skąpo udzielała mi szkoła przy 2—3 godzinach tygodniowo. Dostając powieści n. p. Fenimora Cooper'a, zapępniać musiałem po kilka kajetów nieznanymi wyrazami, szukać znaczenia ich w słowniku i wyuczać się na pamięć, ale następnie poznawałem je w związku z innemi, jako członki zdania, a gdy nie mogłem poradzić z trudnościami syntaktycznemi, to się udawałem do kamrata. Tą drogą doszedłem do Weltgeschichte Beckera 12-tomowej, napisanej łatwo, obfitującej w anegdoty, przyjemnej w czytaniu dla takich właśnie aspirantów do wiedzy powszechno dziejowej, jakim ja byłem wówczas.

Przybył nowy profesor języka francuskiego, Borzymowski, Polak, ale dużo lepszy od Francuza, poprzednika swego. Energiczny, dobrze wykształcony, mógłby zapewne uczyć nas w klasie skutecznie, gdyby miał więcej czasu. Wynaśliśmy taki sposób, że jeden z kolegów w imieniu grupy, złożonej z 8-u, poszedł na układy o lekcyje prywatne i zawarł umowę, że będziemy



mieli po dwie godziny tygodniowo, płacąc po 2 ruble na miesiąc od głowy. Na tych lekcjach ćwiczyliśmy się w rozmowie i opowiadaniu przeczytanych powieści, których dostarczał nam profesor z biblioteki własnej. Były to edycje paryskie albo brukselskie, zwykle ilustrowane drzeworytami. Rychło doszedłem do łatwości w czytaniu i pochłaniałem romanse Walter Scott'a z takim zajęciem, że ojciec gasił świecę, żeby mnie przynaglić do spania, ja zaś wybiegałem na dziedziniec, żeby przy świetle księżyca w pełni dowiedzieć się znaczenia ilustracyi, pod którą mieścił się podpis: *Il pousse l'aiguille sur l'heure fatale* w »Purytanach«.

Zafrasowała nas również sprawa łaciny, ale z Rjazańskim nie warto było gadać o niej. Wynaleźliśmy innego nauczyciela: Ignacego Piotra Legatowicza, »b. prefekta szkół powiatu Lepelskiego, mającego znak nieskazitelnej służby za lat 25«, emeryta ociemniałego, ale przechowującego w pamięci lepszą tradycję pedagogiczną. Przychodziliśmy do jego mieszkania w okolicy ogrodu Gubernatorskiego. Wychodził do nas, prowadzony przez córkę i poprzedzał lekcję zwykle taką konwersacją: *Quomodo valetis?* Odpowiadaliśmy: *Bene, gratias agamus.* Poprawiał zaraz: *agimus*, poczem zapytywał: *Omnesne adsunt?* Odpowiadaliśmy: *Kossovius abest.* Pytanie: *Cur?* Odpowiedź: *Aegrotus est. Quem*

librum apportavistis? Cajum Sallustium Crispum. Bene, tunc incipiamus. Zaczynaliśmy tedy tłumaczyć *Bellum Jugurthinum*, on zaś zatrzymywał nas nad każdym zawilszem zdaniem i rozwiązywał trudności składniowe, lub dawał komentarze historyczne i starożytnicze. Atoli nie mogąc przebiegać tekstu własnymi oczyma, nie był w stanie posuwać wykładu z należytą sprawnością: więc dorobek nasz nie obfity i wprawdy w czytaniu autorów à livre ouvert musiałem nabywać już podczas studyów uniwersyteckich nocami, odganiając senność tabaką, albo przemycaniem oczu zimną wodą.

Klasa VI niegdyś słynęła z przeludnienia, ponieważ przyjmowała przybywających z prowincyi uczniów, którzy pokończyli kurs szkół powiatowych 5-cio klasowych. Wiadomo, że po powstaniu 1831 roku liczne szkoły bazyliańskie, pijarskie, dominikańskie zostały zniesione i edukacya rządowa przystosowana do organizacyi administracyjnej. Chociaż nie łatwo było jechać z odległych miast powiatowych do Mińska na dokończenie kursu szkoły średniej, zbierało się jednak w klasie VI-ej około setki, a raz nawet 120 młodzieńców. Pamiętam, że w narożnej sali ławki stały nietylko w dwu szeregach naprzeciwko katederki, ale i przy ścianach bocznych. Diesnickij, który był dyrektorem gubernialnym, wynalazł jakieś sposoby zmniejszenia tej licze-

бноści. Myśmy się zmieścili już w mniejszej klasie bez dostawianych ławek.

Domyślaliśmy się potroszę celów takiej polityki. Tem gorliwiej kwapiliśmy się do samokształcenia. Nie mieliśmy wykładu ani języka polskiego, ani literatury swojej. Istniała w mieście niewielka biblioteka rządowa, ale z książkami wyłącznie rosyjskimi. Miałem z niej kronikę Nestora w wydaniu prastarem Schlözera, a w tłumaczeniu Jazykowa: ani korzyści, ani przyjemności z niej nie wyciągnąłem. Uformowaliśmy nareszcie kółko do czytowania książek polskich. Floryan Czepieliński, mały urzędnik z biura dóbr państwowych, a późniejszy autor gramatyki i kilku dziełek dla młodzieży, założył czytelną prywatną: wypożyczał książki tym, którzy płacić zechcą po parę złotych na miesiąc, a z takich przychodów zakupywał książki nowe. Braliśmy od niego, ale niebawem ofiarowali nam takie same warunki wypożyczania żydzi księgarze z placu Katedralnego. Przez wzajemną wymianę książek i zdań krytycznych obeznawaliśmy się ze współczesnym ruchem i duchem piśmiennictwa polskiego. Wychodziły już »Gawędy i Rymy Ulotne« Syrokomli. Zachwycaliśmy się niemi i cieszyliśmy się, że autor pochodzi z gubernii Mińskiej. Jego łatwa i urozmaicona wersyfikacya obudziła we mnie chęć rymowania z dalszemi następstwami, t. j. z na-

dzieją być drukowanym, czytowanym i wychwalanym podobnie. »Popelnilem« tedy zeszyt wierszydeł niedorzecznych i, doczekawszy się »kontraktów« majowych, zaniósłem swoje pierwsze dzieło do jednej z dwu przyjezdnych księgarń wileńskich, chrześcijańskich, mianowicie do księgarni Zawadzkiego. Subjekt przyjął odemnie rękopis z poważną miną, a po kilku dniach zwrócił mi z rezolucją odmowną, ale grzecznie wypowiedzianą.

Czytelnictwo nasze nie mogło się podobać Diesnickiemu. Zalecił odbieranie książek polskich, o ile będą przynoszone do klasy, i zabrane konfiskował. Pewnego razu chciałem dokończyć czytania powieści Czajkowskiego p. t. »Szwedzi w Polsce« na lekcyi fizyki, zanim profesor Gan rozpocznie swój wykład. Chociaż ukrywałem ostrożnie książkę pod pulpitem ławki, dostrzegł on ją, zabrał i po lekcyi odniósł do dyrektora. Wyniknąć stąd musiały różne przykrości, a przede wszystkim zapłacenie za egzemplarz księgarzowi grubej sumy: 6 rubli. Dla poratowania się z takiej toni wzywałem opieki muz i samego Apollina. Napisałem po rosyjsku wierszowaną balladę, zadedykowałem ją Diesnickiemu i zaniósłem w Wielki Czwartek, rachując na miękczący serca wpływ spowiedzi wielkotygodniowej (говѣнье). Istotnie, Michaił Jegorowicz miał wyraz twarzy wzruszony, gdy wyszedł do

swego salonu, ozdobionego jedynym obrazem olejnym, portretem poety rosyjskiego von Wyzina. Przeczytawszy balladę, wydał sąd o mojem uzdolnieniu poetycznym mniej grzeczny niż subjekt Zawadzkiego, ale łaskawie wysłuchał prozaicznej oracyi mojej na temat ruiny majątkowej, jaką zrzuciłaby mnie konfiskata »Szwedów«. Osiągnąłem powodzenie zupełne, bo Diesnickij zaprowadził mię do swego gabinetu, pozwolił mi szukać na etażerce pomiędzy stosami skonfiskowanych książek i, przekonawszy się, że to jest wydanie petersburskie, cenzuralne, oddał mi z łagodnem napomnieniem. Poskapił mi odtąd swoich faworów, zaprzestał obdarowywania książkami rosyjskiemi, ale to nie martwiło mnie wcale. W koleżeńskim kółku naszym urobiło się już lekceważenie wszystkich odznaczeń, a nawet i pokus karyery urzędowej, wytworzyła się etyka wcale poważna i hartowna. Rusyfikacya nie dostała się do dusz naszych; zresztą nacisk jej zelżał, gdy wybuchła wojna turecka.

Po manifestie Mikołaja, który zapewniał o przymerzu cesarza z Bogiem, nadchodziły, przeważnie przez pantoflową pocztę żydowską, wieści o koalicyi, o Napoleonie i Palmerstonie, o dziwacznych cywilizacyjnych w obozach francuskim i angielskim, nareszcie o manewrach i bitwach

dla Rosyi niepomysłnych. Starzy rozprawiali ostrożnie, młodzi niecierpliwili się. Ktoś cisnął kamień w okno Diesnickiego i to podczas wizyty archireja Hołubowicza. Potem żandarmerya natrafiła na poszlaki przygotowań powstańczych — w »ogólnej kwaterze« uczniowskiej. Aresztowano kilkunastu »geometrów« ((землемѣровъ) z oddziału specjalnego szkoły. Widziałem kilku, jak prowadzono ich do »ostrogu«. Mnie do takich czynności nikt nie wzywał może przez wzgląd na mój wiek młodociany. Więc uczyłem się gorliwie w klasie VII-ej, zamierzając jechać gdzieś do uniwersytetu na studia historyczne. Ponieważ ojciec ze swej niespełna 300-rublowej płacy biurowej nie mógłby dostarczyć mi funduszu na utrzymanie w jakim oddalonem mieście rosyjskiem (bo w kraju żaden uniwersytet nie istniał): więc przyjmowałem korepetycye oprócz lekcyi, stale odbywanych w pensyonacie zacnego pastora. Zarobki moje oddawałem matce, ta zaś skrzętnie ciulała kapitalik na podróż daleką. Po złożeniu ostatnich egzaminów Diesnickij okazał mi znowu życzliwość swoją: zaproponował stypendyum z funduszów okręgu naukowego wileńskiego. Nie przyjąłem, żeby nie zaciągać obowiązku odslugiwania lat kilku na posadzie, jaką mi rząd wyznaczyć miałby po ukończeniu studyów. Chciałem



zawarować wolność swoją osobistą, chociaż posiadałem tylko 55 rubli w kasie podróźnej.

Opuściłem Mińsk w roku 1855, w kilka miesięcy po zgonie cesarza Mikołaja. W parę lat potem spotkałem Diesnickiego na ulicy w Moskwie; minąłem go bez powitania.

## ROZDZIAŁ II.

### Na uniwersytecie w Moskwie.

---

Przyjechałem do Moskwy w sierpniu 1855 r. i zastałem wielką gromadę Polaków: studentów, wolnych słuchaczy i »faturów« czyli aspirantów do stanu akademickiego. Nazwy »futura« nie można się było pozbyć odrazu przez fakt przywdziania munduru ze szpadą i »treugołką«, t. j. kapeluszem urzędników cywilnych (noszonym codziennie, pod groźbą karceru); trzeba było dźwigać to »futurostwo« przez cały pierwszy rok pobytu na uniwersytecie z pokorą i uszanowaniem względem starszych kolegów, ale bez tych posług, jakie obowiązywały »Fuchsa« w korporacjach niemieckich względem »Burschów«. Polska ambicja młodzieży zadawała się uznaniem starszeństwa braterskiego, nie krępującem swobodnego oddziaływania sił intelektualnych. Znajdowali się zwykle staru-

szkowie, jak na przykład Bokszański, przebywający lat kilkanaście na różnych wydziałach. Takim przyznawano przewodnictwo przy kuflu w »Bierhalle« (najbardziej uczęszczanej piwiarni w suterynie jakiegoś domu na ulicy Kuźnieckiej Most) i dyrygowania chórem oraz dobór piosenek, stosownych do chwili: ale ich zdania i rady w materjach naukowych społecznych, narodowych, nie miały żadnej wagi.

Liczba Polaków dochodziła około r. 1856 do 600 z gubernij zachodnich cesarstwa; z Królestwa czyli t. zw. Kongresówki stanowiła nie wielki odsetek, który się zmniejszył w następnym roku przez wyjazd stypendystów — prawników do Petersburga, gdy tam urządzono wykłady prawa »polskiego« na większą skalę. »Futurzy grupowali się najprzód prowincjami wedle stosunków prywatnych: znajomości, koleżeństwa ze szkolnej ławy, tradycyi rodowych, akcentu mowy, form towarzyskich. Wyróżniali się n. p. koroniarze oglądą, ceremonialnością, wzorowem wysłowieniem, elegancją w mieszkaniu i ubieraniu się. Wołyniacy i Podolanie byli przedrzeźniani za swój iloczas: »choodziłem« »biegałem« i za butę. Wszyscy prawie oni byli zamożni, więc też i strojni. Ze względu na powierzchowność, uregulowaną podług mody, łączono ich z elegantami grupy koroniarskiej pod wspólną nazwą nieznanego mi pochodzenia »nie-

szpornicy«. Ukraina dostarczała Moskwie bardzo nielicznych wędrowców, bo zaludniała uniwersytet Kijowski. Ogromną zaś większość stanowili przybysze z gubernij, które wchodziły niegdyś w skład W. Księstwa Litewskiego, a nie posiadały żadnego zakładu nauki wyższej. Tu odróżniały się dość wyraźnie dwie grupy: rusińska, właściwie białoruska, i żmudzka, ale tylko subtelnościami charakterystyki psychicznej, bo zewnątrznie przedstawiali się jednakowo: w wytartych mundurach, wygniecionych kapeluszach, ze szpadami używanemi do szturgania głów w piecu i z wszelakimi cechami demokratycznego zaniedbania, które zresztą służyło częstoć za dogodną idealną firmę do pokrycia realnej biedy, a nawet i nędzy. Wszak to Litwa zapełniała najtańsze garkuchnie studenckie: Agrafieny Michajłówny, która dawała po trzy potrawy codziennie swoim stołownikom za trzy ruble miesięcznie, przy cenie mięsa 14 kopiejek za funt, i Katieryny Iwanówny, którą częstowała dwiema potrawami za 2 ruble miesięcznie, ale folgowała sobie parę razy na miesiąc, t. j. oświadczała, że dziś obiadu nie będzie, ponieważ »pieczka rozwalilaś«. Odchodziliśmy głodni, ale bez urazy, dowiedziawszy się pod sekretem, że jacyś koledzy nadużyli zbyt łatwo ofiarowanego kredytu.

Demokracja wydziału lekarskiego zamieszki-

wała uliczki przy Bulwarze Kwiatowym (Cwietnoj), zwane ogólnem mianem »Trąby« (Truba): wówczas bowiem kliniki mieściły się nieopodal na Piotrówce. Inne wydziały rozgaszczały się poza bulwarem Twerskim, na Bronnej Wielkiej i Małej, Kozisze, Patryarszych Prudach. Znajdowaliśmy tu pokoje »umeblowane«, raczej zaopatrzone w łóżko, stolik i dwa krzesła, po 3<sup>1</sup>/<sub>2</sub>, 4 do 5 rb. miesięcznie. Kanapa zaliczała się do wyjątkowych artykułów umeblowania, ale samowar z kilku szklankami — do niezbędnych. Wynajem pokoju zawierał zwykle warunek podawania samowaru kipiącego z rana i wieczorem. Najtaniej można było mieszkać na »kolonii«, t. j. z dwoma lub trzema kolegami w jednym lokalu, ale kolonizacya taka praktykowała się tylko wtedy, gdy względy ekonomiczne brały górę nad naukowemi, bo praca szła niesporo przy gadulstwie współlokatorów i liczbie gości, wzrastającej w stosunku prostym do liczby gospodarzy. Przyjemną i dogodną stawała się dopiero podczas letnich wakacyi, gdyśmy wynajmowali zbiorowo domki w okolicach Moskwy u chłopów, n. p. w osadzie Bogorodzkoje za Sokolnikami, albo i dalej o parę stacyi drogi żelaznej Mikołajewskiej. Obrany wolnymi głosami gospodarz zakupywał z funduszu składkowego herbatę, cukier, kawę, kakao w mieście, a z gospodynią umawiał się o dostawy mleka, mię-

siwa, jarzyn i o gotowanie obiadów. Rachuba okazywała się mylną po kilku tygodniach: bufet odmawiał cukru albo herbaty, a kasa zbiorowa pieniędzy na mięso. W takim razie kolonia poddawała się »kuracyi mlecznej«; ta była stosowana nieraz i w mieście jako ostateczne remedium na głód. Do studenta zgłaszały się zwykle dwie sympatyczne osoby: mleczarka z pół-kwartowemi glinianemi naczyniami kształtu nieznanego Etruskom i piekarz, czyli raczej roznosiciel piekarniany z bułkami, które nazywał poetycznie różyczkami (rozancyki). Zamawiało się tedy pewne quantum tego i owego produktu na godzinę 8-mą rano i spało się spokojnie. Z wzorową akuratnością mleko i bułki były po zostawiane na wskazanem miejscu, a rachunek był zapisywany kredą na drzwiach. Wyplata następowała po kilku tygodniach albo i miesiącach.

Minimalny budżet studenta obliczano na rb. 8 miesięcznie; taką sumę wydawała dotkniętym biedą kolegom kasa, o ile się dowiedziała o potrzebie i o ile posiadała gotówkę. Kasa ta formowała się z datków, składanych przez zamożniejszą młodzież, i ze sprzedaży biletów wejścia na koncerty koleżeńskie. Pomiedzy wirtuozykami zasłynęli z talentu: Bardzki fortepianista medyk i Jan Karłowicz wionczelista z wydziału historyczno-filologicznego. Dochód nie mógł być

wielki, gdy nie wynajmowano sali publicznej, nie obwieszczano publiczności afiszami i nie oznaczano ceny wyraźnej na bilet. Impresario wynajdywał możliwie największy pokój u jakiegoś »nieszpornika« i nie troszczył się o siedzenie dla słuchaczy: więc żadnymi kosztami nie obciążał dochodu. Tłoczyli się tedy koledzy, ale hojniejsi byli na oklaski, niż na pieniądze. Nie wytworzyła też podobno kasa ścisłego systemu podatkowego ani egzekucyjnego. Pożyteczne usługi świadczyła niewątpliwie, ale zwalczyć nędzy, grasującej zbyt szeroko, nie zdołała. Liczną klientelę miał zawsze lichwiarz Czystiakow, utrzymujący pozornie sklepik wiktuałów, a w istocie operujący pożyczkami na zastaw zegarków i garderoby, bardzo wysoko oprocentowanymi. Po latach kilku spotkałem takiego kolegę, który przez cały rok nie jadał obiadów i przypisywał temu wygłodzeniu anemię swego organizmu nieuleczalną; był małomówny i dumny i umiał ukrywać niedolę swoją.

Ugrupowanie pierwotne, futurowskie, przekształcało się rychło pod działaniem warunków życia praktycznego, rozmów, sporów, lektury i urzędzeń narodowościowych.

Rozprawy, spory, śpiewy i libacye na cześć Bachusa odbywały się nieprawidłowo, przygodnie na koloniach. Wielkie zaś i uroczyste zebrania odbywały się wieczorem 29 listopada w kilku naj-



obszerniejszych mieszkaniach. Zagajał je prelegent jakiś odczytem historycznym; potem wnoszono stół z bułkami, wędliną, piramidą masła na półmisku i butelkami z wódką albo piwem, bo na wino nie starczyło pieniędzy. Pierwsze miejsca przy tym stole (stojące) zajmowali doświadczeni śpiewacy, żeby harmonijnie zaintonować pieśń Janusza:

Bracia, rocznica: więc po zwyczaju  
Niech każdy toastem splaci.  
Ten pierwszy kielich wznieśmy dla kraju,  
Drugi za ległych współbraci i t. d.

Wrażenie było potężne, szczególnie na nerwach futurów, którzy przyjeżdżali z »domu niewoli«, steroryzowanego uciskiem »Migdała« (tak przezwano groźnego cesarza Mikołaja dla zmylenia podsłuchujących szpiegów). Spartańska uczta przedłużała się do północy, aż wyspiewano cały repertoar pieśni patryotycznych. Gospodyni i sąsiedzi nie przeszkadzali i nie dziwowali się: wyrazów nie rozumieli, dla wódki czuli sympatyę, a ciekawość ich zaspakajała się oświadczeniem, że lokator obchodzi swoje imieniny. Od końca 1857 roku powtarzały się kilka razy po witalne zebrania na cześć wracających do kraju Sybiraków, t. j. wygnańców polskich, którzy cierpieli z godnością najsroźsze wyroki sądów politycznych rosyjskich z lat 1839, 1846, 1848:

więzienie, ciężkie roboty, niektórzy bicie pałkami przez szeregi żołnierzy (»skwoż stroj«), zanim uzyskali względną swobodę na osiedlenie. Jak tylko się dowiedział ktoś ze studentów o przybyciu do Moskwy jednego, dwu lub trzech wygnańców takich, wnet szedł zapraszać ich w imieniu kolegów, ale zbierał tylko bliższych, znajomych swoich, bo zebranie musiało być siedzące, a więc mniej liczne, z herbata, mowami i rozmową zamiast pieśni. Nie wszyscy tedy oglądać mogli szanownych weteranów martyrologii narodowej; trzeba było poprzestawać na opowiadaniach, wychodzących z koła uczestników bankietu. Tym sposobem obieżyły po wszystkich studenckich gromadkach imiona Aleksandra i Franciszka Dalewskich<sup>1)</sup>, członków rodziny

---

<sup>1)</sup> Po powrocie do Wilna niedługo zażywali wypoczynku przy matce, 5-iu siostrach i młodszym bracie Tytusie, od roku bowiem 1861 zaczęło się w kraju wrzenie przedpowstaniowe. Aleksander zmarł w okresie demonstracyjnym, ale cała rodzina przyłączyła się do stronnictwa ruchu. W czasie powstania 1863—4 r. Tytus został powieszony, Franciszek ponownie zesłany do katorgi, Apolonia, jako żona Sierakowskiego, powieszonego, została wywieziona z niemowlęciem do Nowogrodu; inne siostry razem z matką do Samary, skąd przyjechały już o własnym koszcie do Warszawy na mocy manifestu 1867 r. Tu umarła sędziwa matka, nie wydawszy nigdy jęku, ani skargi, znosząc wszystkie cierpienia z nieugiętą godnością i skromną a szczerą pro-

godnej porównania z Machabejską, Aleksandra Krajewskiego <sup>1)</sup>, mędrca, samouka, co zdolnym był zgłębiać kwestye finansowe, ekonomiczne, historyczne i pięknym wierszem przetwarzać dla Polaków arcydzieła Horacego, Goethego, Barbier'ego, Byrona; witaliśmy lekarza Beau-pré, potentata w dysputach, i Szymona Tokarzewskiego, który darował nam swój pamiętnik więzienia i pałkobrania w Zamościu oraz pobytu w Omsku, w tym samym »Martwym Domie«, który zasłynął na całą Europę, dzięki talentowi Rosyanina Dostojewskiego. Pamiętnik Tokarzewskiego treścią i formą podobny był do niemniej słynnego dzieła Sylwiusza Pellico p. t. »I miei prigionieri«, ale przewyższał je obiektywnym, nigdy nie zmałym spokojem w obserwacyi i narracyi własnych wrażeń męczeńskich, dziwną mocą ducha. Rękopis ten, zaginiony wśród zawieruchy 1863 r., odnalazł się po śmierci autora i został ogłoszony drukiem przez jego żonę w 1907 r. p. t. »Siedm lat katorgi«, Warszawa, nakład drukarni L. Bilińskiego i Maślankiewicza.

Lektura nasza zmierzała do poznania spraw i rzeczy polskich, bośmy wszyscy odbierali naukę

---

stotą. Franciszek otrzymał wyzwolenie dopiero w roku 1883, umarł zaś w kwietniu 1904 roku.

<sup>1)</sup> Życiorys jego znajduje się w Bibliotece Warszawskiej za 1903 r. Zesz. lutowy, t. I, str. 312—349.

elementarną w gimnazyach rosyjskich i rusyfikacyjnych. Nie znaliśmy terminologii, nie władaliśmy stylem, popełnialiśmy błędy językowe w wysłowieniu, a czuliśmy, że moskiewszczyzna wciska się wciąż do mózgów naszych przez wykłady uniwersyteckie, przez obcowanie z kolegami Rosyanami, przez wszystkie stosunki powszedniego życia w »bialokamiennej« Moskwie. Raz, nie mogąc wyjechać do kraju na wakacje, a zatem siedząc przez dwa lata wśród obcej ludności, uczulem strapienie, że nie słyszę i przypomnieć sobie nie mogę, jak brzmi mowa polska w głosach niewieścich, zwłaszcza młodych i miłych panienek. Gdy niepodobna było chwycić uchem tak słodkiej melodyi, to przynajmniej oczyma, z drukowanego papieru, chciało się poznać poezye Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego i prozę Libelta lub Trentowskiego. Nazwiska te zostawały wówczas pod klątwą rządu rosyjskiego; my jednak oglądaliśmy je w najlepszych zagranicznych edycjach dzieł. Mieliliśmy je w bibliotece naszej. Biblioteka ta była podzielona na dwa departamenty: jeden, widomy i wiadomy każdemu, kto zapytał o adres, zawierał książki polskie cenzuralne; drugi, tajemny, był najbardziej cenionym zbiorem druków zakazanych (przez cenzurę rosyjską). Obadwa mieściły się w mieszkaniach studenckich bez stałego miejsca, właściwie w szafach przenoszonych

w razie rumacyi lokatora, a departament zakazany w razie wszelkiego popłochu policyjnego. Popłoch taki zresztą nie sprawdził się ani razu. Inspekcya uniwersytecka nie szpiegowała po mieszkaniach; sprawdzała tylko obecność studentów na prelekcyach podług nazwisk, naklejonych w szatni, i obecność ich szpad oraz »treugolek« podług odpowiednio wyciętych otworów w desce przy każdym nazwisku. Noty złe subinspektorów, czyli krócej »subów«, szkodziły starającym się o stypendya, które zresztą były rozdawane hojnie bez różnicy narodowości z bogatych funduszków, legowanych uniwersytetowi przez różnych testatorów. Policya miejska nie miała doświadczenia w pościgach politycznych, a demoralizował ją Hertzen swoim wielce rozpowszechnionym »Kołokołem«. Ludność, zrażona do urzędników typu zmarłego niedawno cesarza i oczekująca reform od jego następcy, nie objawiała żadnych szowinistycznych zapędów względem innoplemieńców; w Polakach upatrywała nawet wielkie zalety i traktowała ich życzliwie. Wszyscy przeto czytali albo z rozpraw poznawali Kordyana, Irydyona, Psalmy przyszłości, trzecią część Dziadów, traktaty o miłości ojczyzny i o odwadze cywilnej, Mochnackiego i Mierosławskiego historję powstania 1831 r., a nadto dzienniki i wydawnictwa emigracyi, zwłaszcza Towarzystwa Demokratycznego.

Pod takimi wpływami wytwarzała się jedna kowa wszechpolska gorąca atmosfera i grupy prowincjonalne przekształcały się na zasadowe: arystokratyczną i demokratyczną, monarchiczną i republikańską, katolicką i bezwyznaniową, ba, nawet ateuszowską, ale bez ściślejszej organizacyi, bez stronnicej zawziętości, uwydatniające się jedynie w sporach o pożądanym cechach przyszłej Polski. Prowincjonalizmy dostarczały tylko materyałów do żartów i przekomarzania się. Trochę podejrzliwości budziła gromadka Żmujdzinów (Dominik Bociarski, olbrzym Jakubowski etc.). Posądzaliśmy ją, że marzy o fundowaniu »cesarstwa Telszewskiego«. Fakta jednakże świadczyły, że odznaczała się tylko zjadaniem kołdunów w nadzwyczajnej ilości i ćwiczeniami w mowie ludu żmujdzko-litewskiego. Ale od wspólnych prac i obowiązków nie usuwali się bynajmniej i na równi ze wszystkimi innemi grupami zaliczali się do »Ogółu«, którem to mianem zwano całą Rzeczpospolitą Polską młodzież uniwersyteckiej.

»Ogół« ten nie posiadał żadnego Pnyxu lub Forum, na którymby mógł się zgromadzić w całkowitym składzie, ani swej ustawy organicznej: istniał idealnie w pojęciach i poczuciu powszechnem swych członków. Miewał zebrania dorywcze, nie określone żadną datą, ani liczbą uczestników, ani naturą kwestyi pod rozstrząsa-



nie poddawanych; głosował też bez urny, najczęściej przez aklamację. Urzędy skarbników i bibliotekarzy były obsadzane nie drogą prawidłowych wyborów, lecz przez poufne porozumiewanie się ustępujących dygnitarzy z następcami, zaleconymi gotowością do podjęcia pracy i szacunkiem kolegów. Nie ogłaszano też nazwisk do wiadomości powszechnej; interesant wszakże dopytał się zawsze o kogoś, co mu załatwił żądanie. Więc urzędowanie wymagało poświęcenia czasu, trudu a nieraz i pieniędzy swoich z bezwarunkową bezinteresownością, z wyrzeczeniem się wszelkich ambitnych widoków; nie nadawało żadnych odznaczeń zewnętrznych; nie obiecywało nawet uznania publicznego na dziś, ani sławy na jutro. Zagięły w niepamięci imiona i czyny tych sług Rzeczypospolitej młodocianej — i ja, historyk z powołania, z zawstyżeniem przyznać się muszę, że nie wiem: kto i kiedy założył tak pożyteczną instytucję.

Obradował »Ogół« tłumnie i gwarno, jeżeli się pojawiła kwestya, dotycząca interesu narodowego. Za moich czasów najważniejszy sejm odbył się na początku 1858 r. w sprawie propozycji Rosyan studentów co do zjednoczenia kas. Byliśmy przejęci wdzięcznością za to, że wszyscy oni ujęli się za kilku Polakami, napadniętymi i pobitymi przez policję w mieszkaniu swoim (na Trąbie) bez winy i racji w jesieni

1857 r. Wzburzył się cały uniwersytet, ustały wykłady, wiecowano w audytoryach i w ogródku »starego« uniwersytetu, dopóki kurator (Jewgraf Kowalewskij) nie pozwolił obrać delegatów, po 2-ch od każdego kursu, do informowania kolegów o biegu sprawy sądowej, która zakończyła się wyrokiem degradacyi dla oficera policyjnego i dymisyą ober-policmajstra Behringa. W delegacyi znaleźli się Polacy z wyboru kursów swoich, t. j. przeważnej większości Rosyan, doznawali uprzejmej życzliwości, a stąd wywiązały się bliższe i szczerze stosunki.

Rosyanie, powziąwszy wiadomość o kasie Ogółu polskiego, zechcieli podobną instytucję założyć i połączyć ją ze starszą, już wypróbowaną doświadczeniem długoletniem. Chodziło też niewątpliwie o związanie się z anti-rządową republiką węzłami ściślejszego koleżeństwa. Ze strony finansowej propozycja Rosyan przedstawiała się ponętnie, bo kasa ich z pewnością byłaby bogatszą i hojniejszą od naszej. Na zebraniu naszym odzywały się liczne głosy za rozpoczęciem układów; po dłuższej atoli dyskusyi jeden z byłych delegatów i odbiorców propozycji (obecny pamiętnikarz) przeczytał projekt odpowiedzi odmownej, z podziękowaniem serdecznem za dobre koleżeństwo i za szlachetne pobudki propozycji, ale też z wyjaśnieniem tego nie-szczęsnego stosunku, w jakim znajduje się na-

ród polski wobec rosyjskiego, w jakim zjednoczenie publiczne Polaków z Rosyanami jest niemożliwe. Rzęsistemi oklaskami zgromadzenie za-twierdziło taką odpowiedź i zaraz obrąło trzech posłów do udzielenia jej, komu należy, w imieniu »Ogółu« studentów polskich. Odprawa poselstwa odbyła się w salonie politycznym, utrzymwanym przez kilku postępowców z wydziału historyczno - filologicznego. Było dużo gości, nie należących do stanu akademickiego: oficerów, urzędników z orderami, i Chomiakow, znakomity poeta, słowianofil, przyjaciel znanego później w Warszawie Koszelewa, wspólnie z nim ponoszący koszt wydania »Ruskiej Besedy«, pierwszego organu sławofilstwa. Po wysłuchaniu odpowiedzi polskiej jeden z gospodarzy (Storożenko) zbijał motywy jej, roztaczając widoki lepszej przyszłości w świetle ideałów rewolucyjno-socyalistycznych z niepospolitą swadą i obfitemi cytatami z dzieł Proudhona, Leroux, Louis Blan'ca. Niedaleka przeszłość usprawiedliwiła jednakże trafność polskich motywów, gdy z owych trzech gospodarzy dwaj zajęli katedry uniwersyteckie, a trzeci (Rybnikow) posadę wicegubernatora w Kaliszu za czasów Komitetu Urządzającego, który przekształcał Królestwo Polskie na kraj Prywiślański pod hasłem innych wcale ideałów; posłowie zaś »Ogółu« polskiego i cały ten »Ogół« (z nielicznymi wyjątkami) zapoznał się dokładnie

i dotkliwie z aparatem sądowniczym i administracyjnym karnym rosyjskim w cytadelach, turmach, w katordze, na »posieleniu« syberyjskiem, na wygnaniu w różnych miastach rosyjskich, albo na tułactwie poza granicami Rosyi.

Opuściłem Moskwę we wrześniu 1859 r., więc dalsze dzieje »Ogółu« nie są mi znane; nie wiem też, co się stało z bibliotekami. Kolegów spotykałem lub obserwowałem w rozmaitych miejscach i sytuacjach. Konrad Chmielewski, jako członek organizacyi powstańczej, okazał odwagę, przytomność umysłu i humor wyborny wśród niebezpieczeństw, a jako lekarz cierpień fizycznych i wszelkich utrapień moralnych, lub nawet pieniężnych, zjednywał sobie uwielbienie nie tylko rodaków, ale i Rosyan w Tomsku i Wierchnieuralsku. Dłuski, najstarszy wśród nas wiekiem, bo się zapisał na medycynę już jako dymisyonowany kapitan z armii kaukaskiej w r. 1863, zasłynął pod przybranem nazwiskiem Jabłonowskiego, jako najlepszy dowódca partyi na Żmudzi, jako zwycięzca batalionu strzelców finlandzkich pod Popielanami. Borzobohaty, wydostawszy się pomyślnie z Nowogródka do Paryża, udoskonalił tam swoją medycynę i miał niepospolity wypadek w swojej praktyce. Dawny znajomy, inżynier Rosyanin, zawezwał go do Butkowa (Włodzimierza Pietrowicza), dotkniętego manią wielkości, nieuleczalną podług orzeczenia

powag paryskich, a był to wysoki dygnitarz rosyjski, sekretarz stanu, członek Rady państwa i Komitetu ministrów, ulubieniec Aleksandra II. Borzobohaty, pogadawszy umiejętnie z obłąkanym pacjentem, uściskał jego rękę i namacał objawy przymiotu: oświadczył więc, że choroba jest uleczalna; Francuz psychiatra potwierdził tę dyagnozę, przyznając się uczciwie do swego błędu. Jakoż po 4-ro miesięcznej kuracyi w odosobnionem mieszkaniu nastąpiła rekonwalescencya, i Borzobohaty wywiózł Butkowa do Dieppe. Aleksander II, zawiadamiany codziennymi telegramami, przysłał szefa żandarmów, hr. Szuwałowa (Piotra Andrzejowicza), na sprawdzenie. Ten dziękował gorąco szczęśliwemu lekarzowi, a wiedząc, że jest emigrantem politycznym, ofiarował mu swoją możną protekcyę do spełnienia żądań jego. Borzobohaty uśmiechnął się ironicznie i powiedział, że powróciłby do Nowogródka w takim tylko razie, gdyby mu pozwolono wydawać tam czasopismo w języku polskim. Hr. Szuwałow uciał rozmowę krótkim zdaniem: »No, tego nie będzie« (Etowo nie budiet). Dziwniejsza rzecz, że pani Butkowowa wykwitowała Borzobohatego 700 rublami za 4-ry miesiące pracy, poświęconej wyłącznie jej mężowi w dzień i w nocy w zamkniętym lokalu. Tęskniąc za krajem, przeniósł się Borzobohaty do Krakowa, gdzie opowiedział mi przy spotkaniu swoją przygodę.

Władysław Gołemberski, matematyk, był dobrym nauczycielem gimnazjum - realnego w Warszawie, czuł przytem silny pociąg do polityki i oddał się jej całkowicie, tak podczas powstania 1863 r., jakoteż po wyjściu za granicę. Pracował w ministeryum węgierskiem, ogłosił parę studyów po polsku, celem przeniesienia działalności swojej do Galicyi, znalazł chętnych współników do założenia gazety »Ojczyzna«, która jednak niedługo utrzymać się zdołała. Bracia Limanowscy dwukrotnie odbywali daleką podróż przymusową: raz do miast północnych, drugi raz do wsi syberyjskiej, gdzie zarabkowali sierpem, bo kosą siec trawy lub zboża nie potrafili. Odzyskali wolność osobistą w 1867 r. i niezwłocznie zabrali się do pracy naukowej: Józef do matematyki stosowanej i teoretycznej, obmyślając nowe zasady geometryi; Bolesław do filozofii pozytywnej Comte'a, do utopii Tomasza Morusa i Campanelli, wreszcie do studyowania socyologii i socyalizmu, wychodząc z praktykowanej w życiu swoim zasady: »Co moje, to twoje, a co twojego, to mi nic do tego« i dochodząc w założeniu wytycznem do zużytkowania socyalizmu na korzyść Polski. Zdobył dyplom doktora filozofii na uniwersytecie lwowskim, ale wygłoszona we Lwowie prelekcyja publiczna o Internacyonale spowodowała na niego wyrok wydalenia poza granice Austrii;



Limanowski musiał wynosić się do Szwajcaryi, a następnie do Paryża. Jego dzieła historyczno-socjologiczne, powoływane przez uczonych rodaków i cudzoziemców, nie usprawiedliwiają tych wszystkich administratorów, czy mężów stanu, którzy wzbraniali pobytu na ziemi polskiej marzycielowi szlachetnemu, agitatorowi bynajmniej nie gwałtownemu, obywatelowi najgorętszą miłością Ojczyzny przejętemu. Dopiero przed kilku laty pozwolono mu osiąść w Krakowie po długiej tułaczce. Jan Karłowicz miewał trochę przykrości w rodzinnym zakęcie z powodu przekonań swoich, ale, obrawszy sobie ludoznawstwo i językoznawstwo za przedmiot badań, zajął wysokie stanowisko w świecie naukowym, pozyskał jednomyślne uznanie tak w kraju, jak i za granicą, i najwyższe zaszczyty. Wyliczenie i ocenę wartości prac jego można znaleźć w zeszytach »Wisły« z r. 1904. Na końcu wymienię Henryka Bukowskiego, ponieważ przypomniał mi po latach wielu, że był »futurem«, kiedy ja przechodziłem na kurs 4-ty. Mieszkał wówczas na kolonii żmudzkiej, ja zaś przyszedłem z żądaniem noclegu z powodu zatargu egzaminacyjnego, który zmusił mię do odroczenia wyjazdu z miasta na dwa tygodnie z utratą własnego mieszkania. Byłem przyjęty gościnnie, a Bukowski jako »futor« oddał mi swoje łóżko, urządziwszy dla siebie posłanie na podłodze. Taka

uprzejmość, uczynność i skromność objawiała się stale w jego całym życiu. Był żołnierzem powstańczym w 1863 r. w partyi Jabłonowskiego, potem sławnym na całą Europę antykwaryuszem, wysoce poważanym w Sztokholmie obywatelem szwedzkim i kawalerem orderów, bogaczem podług cyfry dochodów: ale te dochody zdobywał wyteżoną pracą, a rozdawał hojnie instytucyom polskim, skapiąc ich na osobisty użytek, sypiając na studenckiem łóżku. Rzadkie druki, obrazy, autografy, przedmioty pamiątkowe polskie, napływające do jego antykwarni, wyłączał z obrotu handlowego i rozsyłał darem do Akademii, do Biblioteki Jagiellońskiej, do Gabinetu Archeologicznego, do Muzeum Narodowego w Krakowie i takiegoż w Rapperswylu. Przyjąwszy urząd wiceprezesa w Radzie Rapperswylskiej, zjeżdżał co roku na jej zebrania, sypał tysiącami na zasilanie budżetów rocznych i na wydawnictwa, przeznaczając osiągnany ze sprzedaży dochód na »cichą kasę litewską«, t. j. na stypendya dla młodzieży, studyjacej w wyższych zakładach naukowych. Tych »cichych« kas ufundował ze sześć, a nazywał je litewskimi dla tego tylko, że chciał ukryć swoje nazwisko pod nazwą Litwina. Po dokładniejsze wiadomości o jego życiu i czynach, odsyłam do nekrologii, drukowanej w Kwartalniku Historycznym 1900 r. t. XIV, str. 367—374.

Inni koledzy powyżej scharakteryzowanego »Ogółu« służyli narodowi nie tak widocznie, ale zawsze uczciwie i z poświęceniem. Żadnemu, o ile mi wiadomo, nie zarzucano zaprzaństwa. Pokoleniu temu nie trzeba było powtarzać przestrogi: »Ducha nie gaście!«

---

### ROZDZIAŁ III.

#### Urzędowanie w Kownie.

---

Z patentem kandydata praw, upoważniającym do otrzymania rangi 10-tej klasy (koleżskiego sekretarza), marzyłem o jakiegokolwiek służbie społeczeństwu swojemu na ziemi rodzinnej. Profesor prawa międzynarodowego (późniejszy kurator okręgu dorpckiego), Kapustin, zaproponował mi stypendyum zagraniczne dla przygotowania się do katedry prawa rzymskiego, która zawakować miała w uniwersytecie petersburskim po Schneiderze, lecz propozycję tę bez namysłu odrzuciłem, oświadczając, że wolę być nauczycielem w Mołodecznie — lichej mieścinie, o której tyle tylko wiedziałem, że się znajduje na Litwie, w gubernii mińskiej czy wileńskiej. Skwapliwie zaś przyjąłem propozycję przyjaciela Podolanina, Leonarda Czerkawskiego, że bym napisał prośbę do kuratora okręgu nauko-

wego wileńskiego i oddał na jego ręce, ponieważ on, bywając w domu drugiego komendanta Moskwy, barona Sommarugi, może z łatwością uzyskać listy polecające do tegoż kuratora od kilku generałów. Napisałem, oddałem, ale mało miałem nadziei, wiedząc, że wykład historii, o który prosiłem, nie był powierzany Polakom. Tymczasem brak mamony zmusił mnie do przyjęcia [posady nauczycielskiej w 2 im korpusie Kadetów (za rekomendacją wzmiankowanego wyżej prof. Kapustina) z płacą 1.100 rubli rocznie. Gotowałem się do rozpoczęcia wykładów przez jeden tydzień, wykladałem przez drugi tydzień, gdy poczta przyniosła mi niespodzianie nominację od kuratora generała-lejtenanta Wrangla na starszego nauczyciela historii w gimnazjum kowieńskim. Uszczęśliwiony, podałem się natychmiast do dymisyi, odebrałem swoje papiery i wybrałem się pośpiesznie w drogę. Pensyi nie dostałem, ale pożyczkę i poręczenia za ubranie, ogółem 300 rubli wynoszące, zdobyłem na hypotekę pensyi kowieńskiej, która była jednak szczupłą, bo wynosiła rubli 600 i mieszkaniowego dodatku rb. 50 rocznie. Drogą żelazną przez Petersburg i Psków, a dalej wózkami pocztowym (perekładnaja) przybyłem do Kowna w połowie września 1859 roku.

Gimnazjum wówczas mieściło się jeszcze w pojezuickich murach, jak za czasów Adama

Mickiewicza, z tą różnicą, że kościół przemienił się na cerkiew prawosławną i że lewą połowę gmachu zajmował na mieszkanie dyrektor gubernialny, Siergiej Kapitonowicz Wasiljew, Rosyjanin rodowity, ale od dawna zasiedziały na Litwie, ożeniony z Polką i umiejący mówić w razie potrzeby dobrą polszczyzną. W szkole jednak przemawiał tylko po rosyjsku, i żaden nauczyciel nie miał prawa wyklądać lub mówić po polsku, oprócz Nowakowskiego, który niedawno otrzymał nominację na nauczyciela specjalnie do języka i literatury polskiej z łaski cesarza Aleksandra II. Zdarzyło się, że nazajutrz po przyjeździe, na pierwszy występ mój w klasie 6-ej wszedł kurator okręgu baron Wrangel: więc instalacya historyczna odbyła się z największą możliwie pompą. Byłem trochę za młody, gdyż brakowało mi  $1\frac{1}{2}$  miesiąca do 20 lat wieku, ale akcent wzorowy w mowie rosyjskiej i krój fraka moskiewski sprawiły na zwierzchności mojej korzystne wrażenie bez względu na treść wykładu — ubożuchną w materyał naukowy, przywieziony z uniwersytetu. Osiągnąłem na razie powodzenie zupełne, a biblioteczka własna, zasilona 18-tomowem wydaniem Schlossera, miała uczynić mię godnym krzewicielem wiedzy wobec uczniów moich. Zabrałem się też pilnie do sporządzania notatek do lekcyj których miałem 13 na tydzień w klasach 3-ej do 7-ej. Szcze-

gólne trudności nastęrczała mi historia nowożytna, która w Moskwie, a podobno i we wszystkich uniwersytetach rosyjskich, wcale wykładaną nie była, ponieważ cesarz Mikołaj I upatrywał niebezpieczeństwo polityczne w jej informacjach o rewolucyi francuskiej, powstaniach i narodowych przewrotach wszelakich. I wieki średnie zaznaczyły się w moim umyśle słabo podług fragmentów, wyłożonych przez profesorów moich, Jeszewskiego i Henryka Wyzińskiego, ze starożytnej zaś miałem najobfitsze notatki z historyi Wschodu, którą wyłożył nam uwielbiany prof. Kudrjawcew. Przesiadywałem do godziny 2-ej w nocy za biurkiem przed lekcją w klasach 6-ej i 7-ej. Gorliwość ta nie zjednywała mi sympatyi uczniów; więcej cenili sprawiedliwość moją w taksowaniu ich odpowiedzi liczbami cenzuralnemi. Byłem dla nich urzędnikiem rosyjskim, dzierżącym władzę promocyi i odznaczeń, potrzebnych w życiu praktycznem. Zapał do nauki zresztą nie objawiał się też ani w gronie nauczycieli, kolegów moich, ani w społeczeństwie miejskiem.

Poznawalem też społeczeństwo to, zawierając liczne stosunki, znajomości, uczęszczając na prośzone herbatki i wieczory »tańczące« czyli taneczne. Ponad pospółstwem rzemieślniczem chrześcijańskim i kupieckiem żydowskiem wspinała się na wyższe szczeble biurokracya polska



z kilkunastu Rosyanami, zajmującymi naczelne urzędy, marszałkowie i prezesi sądów cywilnych, obierani przez szlachtę-ziemian, zwanych wyłącznie »obywatelami«. Biura były obsadzone także przez szlachtę, mniej więcej dobrze urodzoną, ale nie uposażoną w dobra ziemskie, żyjącą z płac rządowych, nader szczupłych, i z łapówek, pobieranych cichaczem od interesantów. Biuraliści nie mieli pretensyi do »obywatelstwa«, ubiegali się tylko o awanse służbowe, a spędzali dziesiątki lat, czasem całe życie, na podrzędnych posadach kancelistów, kopistów, nie wystarczając uzdolnieniem umysłowem nawet do spisywania protokołów posiedzeń. Zdawało mi się, że charakteryzuje się całe społeczeństwo miejskie martwością umysłową. Nie było żadnej biblioteki publicznej, ani nawet znaczniejszej prywatnej; czytelnia z gazetami znajdowała się tylko w klubie, którego członkowie wszakże spędzali całe wieczory i noce przy stolikach kartowych. Bywałem zwykle jedynym czytelnikiem, o ile nie przyszedł pułkownik żandarmeryi (późniejszy gubernator grodzieński) Skworców. Ten nie omieszkiał zaprezentować się uprzejmie młodemu profesorowi, biorąc go odrazu pod obserwację polityczną. W otoczeniu nauczycielskiem nie znalazłem żadnych aspiracyj naukowych; napotkałem tylko zużytych, niedouczonej i kilku zdziwaczałych pedagogów.

Takie niemiłe wrażenia musiały się odbić w korespondencyi, przesłanej do dawniejszych kolegów, którzy zaczęli wydawać jakieś czasopismo krótkotrwałe. Nie posiadam tego dokumentu, chociaż widziałem go w druku. Był to pierwszy mój utwór publicystyczny, zaginiony wraz z tytułem czasopisma, nawet dla Estrejchera, najskrzętniejszego bibliografa. Jednocześnie prawie w 1860 r. miesięcznik ministerium sprawiedliwości (*Żurnal Ministierstwa Justicii*) wydrukował moją rozprawę uniwersytecką, kandydacką i medalową, napisaną w języku rosyjskim p. t. *Pogląd porównawczy na procesy kryminalne francuski i angielski (Srawnitielnyj wzglad na francuzskij i angliskij ugołownyje procesy)*. Porównywałem organizacye sądów przysięgłych, wówczas jeszcze nieznanych w Rosyi.

Rozprawa moja tyle zyskała powodzenia, żem otrzymał list od profesora uniwersytetu kijowskiego (późniejszego ministra finansów) Bungego, zachęcający do ubiegania się o katedrę prawa karnego, wakującą w owym uniwersytecie. Mnie mał on, że wystarczy przesłanie egzemplarza z odpowiednim listem do dziekana wydziału prawnego Iwaniszewa, sam zaś występować w charakterze urzędowym nie może. Powoływał się przytem na chlubne dla mnie świadectwo Kapustina. Chętnie usłuchałem tej rady, bo przenosiny z Kowna do Kijowa nie byłyby expatrya-

cyą. Napisałem przeto list do Iwaniszewa i załączyłem w odblity połówę rozprawy drugą (bo redakcyja nie mogła mi dostarczyć pierwszej skutkiem spóźnionego zgłoszenia się). P. Iwaniszew nie zaszczycił mię odpowiedzią, a ja dopraszać się i zabiegów innych przedsiębrać nie chciałem.

Oswajałem się tymczasem z Kownem. Znalazło się kilku kolegów dawniejszych i wytworzyła się partya młodzieży uniwersyteckiej. Jeden z nich, lekarz Bernatowicz, zaprojektował wycieczkę na wieś na święta Bożego Narodzenia. Wynajeliśmy sanki dorożkarskie i puściliśmy się na wędrowkę po dworach powiatu Poniewieskiego. Napotykaliliśmy młodzież albo znajomą, albo łatwą do zaznajomienia się: więc wzrastającą wciąż gromadą jeździliśmy od dworu do dworu, wszędzie przyjmowani gościnnie. Kraina była gęsto zaludniona i zamożna; przyjmowanie kilkunastu osób nie sprawiało owoczesnemu szlachcicowi kłopotu; starczyło pościeli i zapasów spiżarnianych; znalazły się tu i ówdzie świeże dzienniki i nowe książki. Pan Bolesław Czerniewski w Borkłoniach uczył mię nowością historyczną Maksa Dunckera: *Geschichte des Alterthums*. Nie zaniedbywano i tańców przy rzempoleniu żydowskiej zwykle kapeli. Rekonasans między ziemian wypadł pomyślnie. Po powrocie do miasta, uprawialiśmy nabytą sztukę tancerską, doskonając się pod łagodnem i wy-

rozumiałem kierownictwem panien. Wyrozumiałości ja potrzebowałem najbardziej, gdyż w tańcach wirowych nie byłem wyćwiczony i nie zawsze mogłem w takt utrafić, zaczynając nawet »od pieca«. Nie zrażała się jednak niezgrabijaszostwem takim bardzo zręczna tancerka, panna Jadwiga Kulwieciówna, bo odwzajemniła mi uścisk paluszków.

Zachmurzył się mój horyzont w końcu roku szkolnego przy egzaminach dorocznych. Wyróżnił się nieuctwem pewien uczeń klasy 4-tej, Popławski, tak dalece, że dostał najgorszy stopień: jedynkę czyli »pałkę«. Niezwłocznie potem zaczęła mnie napastować w mieszkaniu mojem matka jego żalami i wypraszeniem poprawki. Oświadczyłem, że chętnie egzaminować go będę powtórnie i po raz trzeci, byle się nauczył kursu; ale wówczas powstały różne przeszkody: jakaś gorączka ze zmartwienia, następnie zamierzone przenosiny do innego miasta w ciągu wakacyj letnich. Ponieważ miałem wyjeżdżać do rodzinnego swego Mińska, więc upoważniłem kolegę i asystenta mego do przesłuchania owego egzaminu poprawczego. Jakież atoli było zdumienie moje, gdym się dowiedział, powróciwszy na początek nowego roku szkolnego, że Popławski przeniósł się nie do innej szkoły, lecz do wyższej klasy. Kolega wyznał mi bez ogródek, że nie odważył się na opór natarczywym żąda-

niom, wiedząc o szczególnych stosunkach pani Popławskiej z Dołobowskim, a Dołobowskiego z dyrektorem Wasiljewem, mianowicie jako pofnogo poborcy łapówek na jego dochód. Miałem więcej odwagi. Przeprosiłem kolegę, że stopień jego unieważnię, i zażądałem, żeby Popławski stanął do poprawki przedemną. Nie stanął, ale nawiedził mię Dołobowski i długo zabawiał wykrętnem krasomówstwem -- bez powodzenia. W kilka dni potem wywołał mię z klasy sam Siergiej Kapitonowicz i, chodząc po korytarzu szkolnym, poddawał mi kombinacye pedagogiczne, że niektórzy uczniowie bywają upośledzeni w zdolnościach do pewnych przedmiotów, n. p. do historyi, i że takim być musi Popławski, który z innych przedmiotów otrzymał stopnie dostateczne. Gdy nie przekonała mnie taka argumentacya, pan dyrektor wezwał mię za parę tygodni do swego gabinetu i pokazał skargę pani Popławskiej, zanesioną do kuratora okręgu, a przez tegoż przesłaną do sprawdzenia. Białowłosy staruszek zapewniał dobrotliwie, że moją trzyma stronę, lecz ja, posądzając go o obłudę, wręcz zażądałem urlopu na podróż do Wilna dla osobistego wytłomaczenia sprawy kuratorowi.

Nie istniała jeszcze droga żelazna; jechałem tedy dobę prawie całą końmi pocztowymi i wydałem na jazdę oraz na hotel większą część

pensyi miesięcznej. Jenerał Wrangel wysłuchał mojej oracyi cierpliwie, odpowiedział na nią bajką Kryłowa o biednym Makarze, na którego spadają szyszki dlatego, że staje pod jodłą, gdy Kuźma, stojąc opodal, przykrości nie doznaje, a zakończył oświadczeniem, że podpisze wszystko, nie czytając, cokolwiek napisze mu światły i zacny Siergiej Kapitonowicz. Wróciłem do Kowna skonfundowany. Przyjechał wprawdzie niebawem kurator i urządził w salonie p. dyrektora posiedzenie rady pedagogicznej; jeden z kolegów ośmielił się bronić mię i wystawić poważny wpływ tej sprawy na umysły uczniów: ale w rezultacie ostatecznym ujrzałem Popławskiego w klasie 5-tej i nazwisko jego wpisane na liście w dzienniku szkolnym.

Czułem się głęboko i niesłusznie znieważonym, bezsilnym, a nadto skrępowanym jeszcze dwuletnią służbą, obowiązującą za wydaną mi ze skarbu rządowego zapomogę. Nie ukrywałem swego zniechęcenia i napisałem artykuł ironiczny p. t. »Diplomaty - pedagogi i gienierały - pedagogi« do »Kołoła«, wielce wpływowego wówczas, zakazanego przez rząd, ale przemycanego z Londynu gorliwie pisma. Nie wiem, czy doszedł do redakcyi i czy był wydrukowany. Czytałem tylko z rękopisu kilku osobom.

Miałem już przecie kilka osób życzliwych, ba, nawet przyjaciół szczerych. Pomiedzy nimi



pierwsze miejsce w rachunku moich długów wdzięczności należy się Józefowi Bortnowskiemu, który był wówczas dyrektorem (prawicielem) kancelaryi gubernatorskiej, niezmiernie pracowitym, sumiennym, niepokalanej prawości obywatelem kraju. Przyszedł on do mnie z wyrazami współczucia, które stwierdził projektem wyzwolenia mnie z takich stosunków. Zapropo-  
nował mi przyjęcie posady, jeszcze nie istniejącej, ale mającej się utworzyć wkrótce, od nowego 1861 roku, dla wykonywania wielkiej reformy państwowej: wyzwolenia włościan od poddaństwa w Cesarstwie Rosyjskiem. Wiedział o tem z korespondencyi sekretnej, jako urzędnik, i ofiarował swoje pośrednictwo do układów z gubernatorem, Stanisławem Chomińskim, którego zaufanie posiadał. Zgodziłem się z radością i wdzięcznością, widząc przed sobą pole pracy, pożytecznej dla naszego ludu wiejskiego. Miałem być sekretarzem najprzód Komisji Tymczasowej, a następnie, po ogłoszeniu manifestu wyzwolenczego, sekretarzem Urzędu Gubernialnego do Spraw Włościańskich z pensją 1500 rubli rocznie i dodatkowym tytułem urzędnika VIII-ej klasy do szczególnych poleceń przy gubernatorze. Łatwo mi przyszło osiągnąć porozumienie z Chomińskim, który mówił ze mną po polsku, posyłał swego syna do gimnazyum, był ziemianinem w gubernii wileńskiej i cieszył się sza-

cunkiem powszechnym. Łatwo mu też przyszło porozumienie z kuratorem Wranglem w kwestyi zwolnienia mnie ze służby w ministerjum oświecenia przed upływem terminu dwuletniego. Otrzymałem nową nominacyę i pożegnałem obłudnego Wasiljewa z zadowoleniem.

Nastała chwila w życiu mojem nadzwyczaj pomyślna; na każdym kroku doznawałem favorów Fortuny. Nie znałem formalności i porządków biurowych, znając prawo tylko z teorii: Bortnowski kazał postawić stół dla mnie w swoim gabinecie, żeby mi ułatwić zasięganie rad u niego, i dał mi dwóch kancelistów, wytresowanych w sztuce pisania i podpisywania rozkazów, raportów, sprawozdań. Posiedzenia urzędu odbywały się pod prezydencyą i w mieszkaniu Chomińskiego, który prócz tego zapraszał mię na wieczorne przyjęcia co niedziela. Członkami urzędu byli dwaj wyżsi urzędnicy koronni — prezes izby dóbr państwowych i prokurator gubernialny — oraz ziemianie: dwaj z wyboru grona marszałków i dwaj z nominacyi Najwyższej. Z tych ostatnich jeden, książę Ireneusz Ogiński, oddał pensyę swoją gubernatorowi do rozporządzenia na potrzeby kancelaryi, z czego co kwartał formowała się pozostałość do dodatek do pensyi dla mnie. Przy tak zwiększonym dochodzie spłaciłem szybko dług

moskiewski i zaprosilem rodziców w gościnę. Ojciec bawił tylko przez miesiąc za urlopem, matka zaś pozostawała dłużej u mnie.

Ale chwila ta trwała niespełna 10 miesięcy. Przerwały ją zaburzenia polityczne.

---

## ROZDZIAŁ IV.

### Demonstracye polityczne. Uwięzienie i proces.

---

W marcu (nowego stylu) 1861 r. dowiedzieliśmy się o wypadkach warszawskich: strzeleniu wojska do tłumu (27 lutego), o pogrzebie 5-ciu poległych i o żałobie narodowej. Wnet opasałem krepą czarną swój kapelusz (cylindrowy) ku przerażeniu zacnego Bortnowskiego. Stoczyliśmy polemikę zasadniczą: on wystawiał praktycznie, jako maszynista administracyi gubernialnej, niemożliwość walki tłumu z rządem potężnym; ja uznawałem jedynie i bezwarunkowo obowiązek służenia Ojczyźnie. Nie przekonaliśmy jeden drugiego: wyprowadziłem się przeto z jego gabinetu do innego pokoju i przestałem bywać w jego domu, chociaż ubrały się czarno jego żona i córeczki. W krótkim czasie bowiem żałoba tak się rozpowszechniła w mieście, że osoby przyzwoite nie śmiały wyjść na ulicę w stroju

różnobarwnym. Ustały tańce i wszelkie huczne zabawy. Przedmiotem rozmów towarzyskich stały się nowiny z Warszawy i z zagranicy.

Silniejsze jeszcze wstrząśnienie nerwów sprawiła krwawa scena 8 kwietnia. Wszystkie części dawnej Polski uczuły obowiązek solidaryzowania się z Warszawą. Przyjechali z Paryża na Litwę w celu urządzenia śpiewu choralnego młodzieży »Boże coś Polskę« w katedrze wileńskiej podczas celebrowanej zwykle przez biskupa sumy na św. Stanisław, d. 8 maja. Zwiastowali mi to kole-dzy Limanowscy Bolesław i Józef, przejeżdżając przez Kowno w konfederatkach, przywdzianych dla budzenia odwagi cywilnej. Ich projekt zdawał mi się niewykonalnym, a jednak wykonanym został i wywołał nawet małą rewolucję w zacisznem Wilnie: pochód 300 pań do gubernatora generalnego, Nazimowa, w obronie aresztowanego w kościele śpiewaka, aresztowanie 13-tu innych śpiewaków i wysłanie wszystkich do gubernij odległych w Rosyi północnej na mieszkanie.

Miałoby Kowno pozostać obojętnem i milczącym wobec wypadków takich?

Dla rozważenia kwestyi złożył naradę kolega mój i przyjaciel serdeczny, lekarz Konrad Chmielewski, sprowadziwszy mnie i mało znanego mi Demontowicza do mieszkania wyludnionego w niedzielę podczas nabożeństwa. Godziliśmy się

bezsprzecznie, że należy organizować w Kownie śpiewy i wszelkie demonstracye patryotyzmu polskiego, jakie wymyślone będą w Warszawie przez kierowników ruchu, z którymi wszakże nie mieliśmy żadnych jeszcze stosunków, ani znajomości. Uznaliśmy za obowiązek zawiązać się w komitet. Namysłaliśmy się chwilowo, czy potrafimy wytrzymać męki więzienia z torturami, o których pozostała na Litwie tradycja po procesach politycznych Konarskiego, Dalewskich etc., nie zdradzając tajemnic narodowych. Demontowicz mniemał, że ma skórę zanadto wrażliwą na smaganie różgami, ale ostatecznie orzekł, że sił mu wystarczy. Niedługo potem przybył nam cenny towarzysz w Januszewskim, inżynierze-budowniczym przy budowanej drodze żelaznej.

Niewiele zachodu kosztowało nas uformowanie pierwszego chóru śpiewaczego. Znalazło się dużo chętnej młodzieży, płci obojej; wystąpiły wkrótce temperamenty ruchliwe i ze starszego pokolenia — kobiet szczególnie. Co niedziela po Sanctus i codziennie wieczorami u fary i w kościółku zakonnic na Nowym Planie rozbrzmiewała modlitwa polityczna, potężnie śpiewana setnymi i tysiącnymi głosami. Zapal patryotyczny rozszerzał się i na masę ludności miejskiej i wiejskiej. Ogromne tłumy zbierały się na obchody pamiętnych faktów z historii pol-

skiej. Udała się znakomicie uroczystość pamiątkowa Unii Lubelskiej, zorganizowana w postaci procesyj kowieńskiej i trzech parafij nadniemieńskich z Królestwa (kongresowego), mających się spotkać na moście niemnowym i razem następnie iść parę mil do nowozbudowanego kościoła w Piątku. Szło kilkadziesiąt tysięcy ludu, policmajster nie przeszkodził opanowaniu mostu, szwadron kawaleryi spóźnił się z szarżą i demonstracya historyczno-polityczna odbyła się bez przelewu krwi (12 sierpnia 1861 roku).

Ja zachowywałem się ostrożnie na ogół: czamarki nie przywdziałem, na śpiewy nie chodziłem, jeśli nie zachodziło jakieś niebezpieczeństwo. Ale w procesyi byłem czynny od godziny 5<sup>1/2</sup> rannej, aż do późnego wieczora i wysunąłem się raz, jako śpiewak, na środek kościoła, kiedy lud pierzchnął, strwożony muzyką przechodzącego ulicą batalionu piechoty. Rozumie się, że zapisywali mię żandarmi Skworcowa i zaleźni od policyi tak zwani »dobrze myślący obywatele miejscy«, skazani sądownie przestępcy, używani za świadków w sądzie policyjnym. Był to pomysł ministra spraw wewnętrznych Wałujewa, żeby demonstrantów pozywać do sądu specjalnego, utworzonego wówczas przy sądzie powiatowym i karę wymierzać na mocy wyroków po przeprowadzeniu procesu. Pomysł okazał się niepraktycznym. Owi »dobrze myślący obywa-



tele« stawali wprawdzie do świadczenia, ale czynili to nieudolnie i byli excypowani na żądanie stron, jako niegodni zaufania. Parę wytoczonych procesów zamieniło się na skandale. Opisałem je, jako też procesy 12 sierpnia, w korespondencyach do Dziennika Poznańskiego (pod tą datą oraz d. 29 września 1861 r.), przesłanych tajemnie przez Januszeńskiego. Nie zachowywałem zaś tajemnicy podczas kwaterunku wojskowego, wyznaczonego do domów polskich, do salonów lub najlepszych pokoiów: podszedłem do oficera policyjnego z żądaniem, aby nie pominął mojego mieszkania, gdyż chcę mieć tych gości na równi z sąsiadami moimi. Publiczną też było tajemnicą zbieranie składek po domach zamożniejszych i wypłacanie zapomóg przewożonym przez Kowno więźniom politycznym. Pomiedzy koroniarzami znalazł się Syrokomla, któregośmy uraczyli ucztą w wielkiej sali ratusza, a który napisał wówczas pod wrażeniem rozwiązania Towarzystwa Rolniczego wojowniczy mazurek (»Nas zebranych wielu razem Car widzieć nie życzy« etc.), i za to aresztowany w Warszawie przejechał się z powrotem do Wilna pod strażą dwóch żandarmów.

Mnie uchodziły występy jawne bezkarnie do czasu, chociaż za procesy kary dotknęły: marszałka gubernialnego, Dowgirda, dymisya, marszałka powiatowego, Ludwika Żylińskiego,

i naczelnika dystansu na Niemnie kapitana inżynieryi Romualda Kułakowskiego, osadzenie w cytadeli wileńskiej. Nieobecnym był w dniu tym, na urlopie, gubernator Chomiński, a mimo to został wkrótce przeniesiony do Wologdy; łagodnością grzeszny wice-gubernator Rosyanin Koreckij puszczony na emeryturę. Były to wyraźne poznaki, że liberalizujący dotychczas rząd przechodzi do ostrzejszego tonu. Wyjeżdżając, Chomiński wspomniał o mnie Chmielewskiemu ojcu na pożegnalnej wizycie z wróżbą złowieszczą. Jakoż następca jego kontr-admirał Krieger spoglądał na mnie podejrziwem okiem, gdy przychodziłem z papierami codziennie, czasem parę razy, i trzymałem pióro na posiedzeniach. Zapytał mię, czy jestem bogaty, a nie zrozumiawszy odpowiedzi mojej, żem proletaryusz, powtórzył po kilku dniach zapytanie. Stosunki służbowe poza tem były przyzwoite. Miałem sprawność dostateczną do wykonywania wzrastającej z każdym miesiącem i bardzo już dużej pracy biurowej. Nadeszło nawet podziękowanie z ministeryum spraw wewnętrznych za szybkie przeprowadzenie pewnego zadania statystycznego. Więc nie o to chodziło Kriegerowi. Musiały go niepokoić raporty pułkownika żandarmów.

Krzątanina demonstracyjna nie ustawała skutkiem niepopularności margrabiego Aleksandra

Wielopolskiego. Program jego zrażał nas, bo przywrócenie konstytucyi 1815 roku dla Królestwa Kongresowego nie dotyczyło Litwy, a raczej zrywało Unię lubelską, przyznawało Litwę z Rusią, czyli t. zw. gubernie zachodnie, cesarstwu rosyjskiemu. Dowiadaliśmy się o walce, jaką wytaczało mu w samem Królestwie stronnictwo ruchu, i o zawiązaniu Komitetu Centralnego, który jednak nie zawiązał z nami żadnego stosunku. Rozkaz jego, wydany do urzędników, aby się podawali do dymisyi, wydał się nam nierozsądnym, jeśli nie opierał się na sile gotowej do zbrojnego powstania; do nas nie rozciągał się i wykonania nie oczekiwał poza granicą Kongresówki. Wreszcie ustały śpiewy w Warszawie skutkiem sprofanowania dwu kościołów przez generała Gerstenzweiga i zamknięcia wszystkich przez konsystorz arcybiskupi.

Powodem katastrofy osobistej dla mnie stało się — ktoby się tego spodziewał? — wstrzymanie śpiewów w kościołach kowieńskich. Przyczynę do tego faktu o tyle, żem zasięgnął przez telegram umowny wiadomości z Wilna, czy tam śpiewy ustały skutkiem rozporządzenia właściwego. Gdy w najbliższą niedzielę szpiegowie stanęli na swych punktach obserwacyjnych i zadzwoniono na »Sanctus«, ani jeden głos się nie ozwał. Zdumiony pułkownik Skworców uznał, że należy teraz wykryć tych, którzy mogli na-

kazać milczenie, kiedy dawniej nie skutkowały żadne środki represyjne. Otrzymał przeto od gubernatora upoważnienie do zrobienia kilku rewizyj jednego wieczora.

Byłem chory na artretyzm z obrzmiewaniem stawów i gorączkowaniem. Leżałem w gabinecie na sofie, ale prowadziłem żywą rozmowę z gośćmi: kilku młodzieńcami i paniami. Nie spodzianie wszedł pułkownik Skworcow ze swym orszakiem i zapytał, gdzie są moje papiery? Wskazałem biurko. Goście rozbiegli się szybko, unosząc gazety i plakaty zakazane, których leżało dużo po kątach. Rewident nie zabierał druków; przeglądał tylko rękopisy i telegramy. Zabrawszy coś, oświadczył, że mię aresztuje, lecz widząc zły stan mego zdrowia, pozostawia mię w mieszkaniu z wartą, która będzie pilnowała dwóch wejść, nie wzbraniając wyjścia i przychodzenia mojej matce ze służącą Antosią (przywiezioną z Mińska dzielną dziewczyną). Gdyśmy zostali sami, zapytałem matki: czy była rewidowana kieszeń w spodniach? Nie była. Więc wyciągnąłem z niej własnoręczny artykuł z przewidywaniem przyszłości i spaliłem na świecy.

Choroba stała się pomyślnem dla mnie zdarzeniem proceduralnem. Niecierpliwy żandarm zabrał się pośpiesznie do śledztwa. Nazajutrz przyszedł z audytorem (sekretarzem) swoim, zasiadł przy stole obok łóżka mego i rozpoczął

indagacyę. Dyktował głośno i punktami zapytania, a ja, słysząc je, obmyślałem odpowiedzi, które własnoręcznie pisać postanowiłem. Grę wrażeń na twarzy maskowała gorączka; w trudniejszych ustępach powoływałem się na osłabienie sił: więc mogłem utrzymywać zawsze panowanie nad sobą i przybierać ton dobroduszny w rozmowie z grzecznym po żandarmsku inkwizytem moim. Moje wykształcenie prawnicze, kryminalistyczne, wystarczyło do odpierania jego podstępnych zamachów (captiöse Fragen). Szczegółowego sprawozdania układać teraz nie zamierzam i nie uznaję za pożyteczne dla historii procedury kryminalnej rosyjskiej. Zaznaczę tylko najwybitniejsze zarysy.

Przeraziłem się, słysząc odczytywanie telegramu umownego o zaniechaniu śpiewów. Treść była dobrze zamaskowana wyrazami: »Papier został wysłany z Kuczkuryszek«, ale podpisany fałszywie Piotrowski mógł nabawić utrapienia wielu mieszkających w Wilnie rzeczywistych Piotrowskich. Po krótkim namyśle napisałem, że w Kuczkuryszkach istnieje papiernia, w której zamówiłem był z polecenia gubernatora 280 rez szczególnego papieru na blankiety listów nadawczych dla właścicieli ziemskich. Polecenie zostało wykonane dokładnie i obecnemu śledztwu podlegać nie może. Na ponowne, natarczywsze zapytanie odpisałem, że po wyjaśnieniu ogólni-

kowem w szczegóły wchodzić nie widzę potrzeby, ani obowiązku, ustnie zaś wytłomaczyłem Skworcowski, że, jako więzień, dbać muszę o to, żeby sprawa moja nie rozszerzała się i nie przedłużała przez wprowadzenie zbytecznych przedmiotów badania, jak w tym razie właśnie, kiedy nasuwałaby się rewizya aktów i korespondencyi urzędu włościańskiego, albo zapytywanie Chomińskiego, który przebywa już, albo przebywać będzie, w Wołogdzie. Tym sposobem drażliwy punkt został usunięty bez dalszych omawiań.

Ważniejszy i główny punkt oskarżenia wyłagł się z rękopisu obcego i zganionego przeze mnie. Był to projekt natychmiastowego uwłaszczenia włościan, wyzwolonych świeżo z poddaństwa z indemnizacją za ich grunty, obliczoną na zbyt wysoką skalę. Wytknąłem to autorowi, kiedy mi czytał przed kilku dniami, lecz nie dopilnowałem, żeby zabrał sobie swój utwór. Skworców doszukał się cenniejszych nad obliczenia indemnizacyjne klejnotów: we wstępie historycznym wymienieni byli cesarze Aleksander I i Mikołaj z obelżywymi zarzutami, że nie pozwalali szlachcie polskiej wyzwolić chłopów dawniej. Ze stylizacyi tego ustępu dawała się wytworzyć obraza Majestatu, najcięższe, porównywane z obrazą Boga, przestępstwo podług kodeksu karnego rosyjskiego. Więc też Skworców roztoczył tutaj cały swój talent badawczy, do-



pytując się, kto to pisał, w jakim celu, na jaki użytek? Autorem był Gros, ziemianin żmujdzki, zastępca »pośrednika« czyli komisarza włościańskiego, lecz ja wymienić jego nazwiska nie chciałem. Charakter pisma pochodził oczywiście nie z mojej ręki, ale Skworców znalazł na czterech stronicach między wierszami dopisane wyrazy: »że« »jeżeli« »chłopów na« i jakiś jeszcze, przypisał mnie te wyrazy i ufundował na nich wniosek, że byłem współnikiem zbrodniarza. Zaprzeczyłem szczerze, bo wówczas nie wiedziałem, czyja nakreśliła je ręka. Dopiero w parę tygodni później przysłał mi zawiadomienie Lubomir Gadon (znany później sekretarz książąt Czartoryskich i autor dzieła o Emigracyi Polskiej), że to jego ręka i że pojedzie do gubernatora generalnego Nazimowa z wyznaniem takim. Podziękowałem za dobrą chęć względem mojej osoby, lecz nie dopuściłem do czynu ze względu na interes powszechny, by nie pomnażać liczby ofiar represyi politycznej. Nie wymienilem też ani jednej osoby przy innych, podrzędniejszych punktach badania; nie nastroczyła się Skworcówowi żadna sposobność do urządzenia naocznej konfrontacyi z kimkolwiek, ani do przeciwstawienia jakiegokolwiek świadectwa zeznaniom moim.

Byłem zadowolony z przebiegu śledztwa i po ostatniej indagacyi, a następnie po ustąpieniu

bólów reumatycznych odzyskałem zupełnie dobry humor. Bo jakiż proces sądowy dałby się wytoczyć z takich oskarżeń czy podejrzeń, nawet w sprawie obrazy Majestatu, która spoczywała w szufladzie, nie ogłoszona ani drukiem, ani mową ustną? I cały materyał, przy rewizyi zdobyty, i cała działalność moja polityczna, przez szpiegów obserwowana, nie wykaczała poza granice demonstracyi ideowych, bezbronnych, pokojowych, jakie praktykowały się w państwach konstytucyjnych, a dziś w samej Rosyi byłyby tłumione przez policję, ale nie karane sądownie. Otrzymałem ostrzeżenie od kogoś życzliwego, że Skworcow zbierał audytorów wojskowych i kazał im napisać akt uznania owych czterech wyrazów dopiskowych za moje własnoręczne; lecz nie uwierzyłem tej wiadomości, ponieważ, zajrzawszy do kodeksu, znalazłem artykuł o przysługującym oskarżonemu prawie excepcyi w takich wypadkach, a w dziełach kryminalistów (jak Bonnier »*Traité des preuves*«, Faustin Hélie »*Traité d'instruction criminelle*« etc.) doczytałem się kilku zastrzeżeń co do postępowania biegłych przy badaniu pisma. Nie przypuszczałem, żeby Skworcow lekceważył moje wykształcenie prawnicze.

Przewidywałem utratę posady i możliwą przejażdżkę do dalszych gubernii rosyjskich lub syberyjskich: ale nie bałem się o przyszłość,

będąc przyzwyczajony do walczenia z kłopotami życia. Miałem tak dobrą fantazyę, że się oświadczył o rękę panny Jadwigi Kulwieciówny, gdy przyszła odwiedzić mię, jako więźnia. Zналиśmy się od pierwszych chwil pobytu mojego w Kownie, bom zamieszkał w domu jej rodziców i niedawno dopiero przeprowadził się do nowego mieszkania. W okresie tanecznym znalazłem dużo wesołości pod gościnnym dachem jej matki, powszechnie szanowanej, ale żywej i figlarnej, pani rejentowej, a w okresie polityki napotykałem u niej zgodność w pojęciach, odwagę i ofiarność w czynach, poczynając od naszycia czarnych lamówek na firankach w salonie na pierwsze hasło żałoby narodowej. Matka moja powzięła sympatyę dla całej rodziny, rozumując ze swego punktu zapatrywania, i pochwalila mój zamiar. Oświadczyły były przyjęte bez wahania i namysłu. Nie zaprzataliśmy sobie głowy projektami intercyzy lub urządzeń małżeńskiego gniazda niewiedzieć gdzie i kiedy. Nie wiele zresztą czasu mieliśmy na rozmowy, skoro odwiedziny odbywały się za nielegalnem pozwoleniem warty, nabywanem drogą przekupstwa. Odwiedzały mię też inne osoby życzliwe, bo żołnierz rosyjski okazał się bardzo podatnym na kubany — z wyjątkiem Łotyszów. Służąca Antosia potrafiła zdobyć nad nimi władzę samowładczą: jednemu kazała iść po wodę, dru-

giemu nosić drwa do pieca, a dwóch zostawiała w kuchni i przedpokoju do pilnowania drzwi.

W drugim miesiącu pod koniec powstałem z łóżka i używałem przechadzki wewnątrz mieszkania, wymyślając niewinne rozrywki wśród beczynności. W ostatnim dniu trzeciego miesiąca zaszedł wypadek, stanowiący nową epokę dla sprawy mojej. Śpiewałem pieśni patryotyczne z Antosią, która zadała żołnierzom tego wieczora szczególną robotę: skubanie pierza. Siedzielili oni przy garnku rozbrojeni, gdy we drzwiach ukazał się otulony długim płaszczem wojskowy i zapytał: czy można wejść? Odpowiedzieli do brodusznie, że można, ale ja, usłyszawszy niezwykłą rozmowę, wyjrzałem z pokoju i poznałem gubernatora Kriegera. Dla przestrogi wygłosiłem zaraz tytuł Excelencyi, zaprowadziłem go do salonu i powitałem uprzejmie, powiadając, że właśnie miałem pisać do niego.

— O czymże? — zapytał.

O usunięcie żołnierzy od drzwi moich, ponieważ jutro kończy się trzeci miesiąc aresztu, najdłuższy termin, zakreślony prawem dla przestępstwa takiego, jakie z przeprowadzonego śledztwa uformowaniem być może.

Na dowód podałem mu kodeks karny, tom XV Zводу Praw i wskazałem artykuł o przechowywaniu pism występnych.

Wtem weszła matka moja. Przedstawiłem

ją, a Krieger odrazu uraczył ją grubijańskim zarzutem, że nie umiała trzymać mnie w rygorze, póki byłem malcem, i gestem pokazał, że powinna była częściej używać różgi. Powstałem z krzesła wzburzony i ostro rzekłem: »Kto panu dał prawo znieważania mnie we własnym domu moim?« (właściwie: we własnem mieszkaniu, bo dom był własnością Frumkina).

Powstał też Krieger i usprawiedliwił swój wybryk niewłaściwością mego postępku, żem wytykał mu prawo, kiedy rząd obecnie zapatrzuje się surowo na sprawy polityczne; może być uwzględniony tylko wiek mój młody, brak doświadczenia i t. d. Ja na to: »Proszę nie częstować mię pobłażaniem. Jestem prawnikiem i wiem dobrze, jakie wnioski wyciągnięte być mogą z danej sprawy. Zresztą, jeśli będę ludzkości potrzebny, to nie uprzątniecie mnie z oblicza ziemi, ani pan, ani Nazimow. Gdyby zaś udało się wam takie przedsięwzięcie, to nie dbałbym wcale o swoją dolę«.

Nie okazał urazy po wysłuchaniu tak gwałtownej apostrofy Krieger. Owszem, w łagodniejszym tonie tłumaczył się, że przyszedł nie w zamiarze znieważania, lecz przez współczucie (изъ уястія) dla mnie, podpisał bowiem na żądanie Skworcowa rozkaz przeniesienia mnie do szpitala wojskowego i chciał mię o tem zawiadomić, aby nie przeraził mnie policyant wyko-

naniem rozkazu. Ukłoniłem się i wymówiłem słówko podzięk za współczucie <sup>1)</sup>).

Po wyjściu jego rozmyślałem, że zechce mi szkodzić w gniewie, nie domyśliłem się jednak, że podrażniło go najbardziej powołanie się na prawo.

Przeprowadzka moja do szpitala wojskowego, mieszczącego się przy murach skasowanego klasztoru Karmelitów, odbyła się efektownie, w godzinach popołudniowych, bez zarządzeń sekretnych. Schodząc na ganek, ujrzałem oczekującą gromadę osób różnej płci i wieku, która mię witała serdecznie. Towarzyszący mi urzędnik policyjny zachowywał się biernie i nie mógł przeszkodzić temu, że wiele sanek ruszyło za nami i przed nami. U Karmelitów zastałem pokój natłoczony tak, że musiałem czułą przemową wyprosić szanownych intruzów. Po ich odejściu oficer od warty postawił w korytarzu szyldwacha. Przysłano mi pościel, stół, dwa krzesła, trochę książek i przyrządy herbaciane. Żona lekarza

---

<sup>1)</sup> Pamiętam dziś jeszcze wyrażenia swoje: Кто Вамъ далъ право наноситьъ мнѣ оскорбленія въ моемъ собственномъ домѣ?... Не сулите мнѣ, пожалуйста, снисхожденія. Я самъ юристъ и хорошо знаю, какія послѣдствія могутъ возникнуть изъ даннаго дѣла. Впрочемъ, если я приложусь на что нибудь челоуѣчеству, то ни Вы, ни Назимовъ меня съ лица земли не сотрете, а если Вамъ удастся эта штука, то я отношусь къ ней совершенно равнодушно.



naczelnego, pani Walicka, oświadczyła się z gotowością przysyłania mi obiadów ze swojej kuchni: więc posługacz szpitalny, przynoszący w dwóch miseczkach blaszanych t. zw. »stół oficerski«, wcale nie ponętny, spożywał sam za mojem pozwoleniem. Tak się ukształtowało nowe gospodarstwo moje. Dawniejsze zostało zwinięte. Matka z Antosią była zaproszona do pani rejentowej. Mogła mnie odwiedzać raz na tydzień. Otrzymała podobne pozwolenie narzeczona, a bez pozwolenia formalnego nawiedzały mnie częściej, gdy się zaznajomiły z oficerami od warty. Niektórzy byli bardzo uprzejmi aż do narażania się na osobistą odpowiedzialność. Jeden liberalista-Rosyanin, proponował mi, że wypuści mnie i ułatwi ucieczkę. Nie przyjąłem propozycji. Drugi zapraszał mnie do swego mieszkania poza szpitalem tak natarczywie, że musiałem pójść z nim i zabawić u niego z dziesięć minut. Spacerować wolno mi było codziennie po ogrodzie szpitalnym, wśród leczonych żołnierzy. Rzadki dzień schodził mi w samotności; przychodzili do mnie na pogawędkę, albo na szachy oficerowie. Miałem też dla nich smakołyki, nadsyłane z miasta. Pod oknem ukazywali się czasem przejezdni koledzy, n. p. Krzyżanowski, późniejszy adwokat kijowski, i Pawiński, późniejszy profesor uniwersytetu warszawskiego.

Nie sprawiło na razie zmiany w takim try-

bie życia ustanowienie sądu wojennego, jakkolwiek niezwykle i zadziwiające. Krieger uzyskał od gubernatora generalnego Nazimowa zarządzenie, abym stawionym był przed sądem polowym; lecz postępowanie sądowe miało się odbywać wedle przepisu zwyczajnego sądu wojskowego: to znaczy, bez obrońcy dla oskarżonego. Prowadziło mnie tedy dwóch żołnierzy z nastawionymi bagnetami do sali w drugim gmachu przed sąd, złożony z dwu chorążych, dwu kapitanów i dwu majorów pod prezydencją pułkownika z pułku piechoty Newskiego oraz audytora, siedzącego przy osobnym stoliku. Szło temu kompletowi niesporo z indagacją; nie ukończył przesłuchania i usunął się, korzystając z wymarszu gdzieś do innej gubernii. Zastąpił go drugi komplet z przybyłego potem pułku Koporskiego. I ten drugi działał opieszale. Zażądał tłumacza do pism polskich od gubernatora. Załatwił to żądanie Bortnowski w sposób dla mnie najkorzystniejszy, bo wydelegował z kancelaryi wychowanka uniwersytetu moskiewskiego, przypuszczalnie kolegę mego. Tłumaczenie zabrało parę miesięcy, poczem sporządzono »wypisnę«, czyli treściwy opis wszystkich materyałów oskarżenia; tu znalazł miejsce tajony przedemną dotychczas akt audytorów, orzekający, że poprawki na broszurze zbrodniczej pochodzą z mojej ręki. Zaprotestowałem artykułami kodeksu i cytatami

uczonych specjalistów. Skutek był taki, że akt został unieważniony, i sąd, chociaż nie uznał ekspertyzy za niemożliwą w danym wypadku, zażądał przecież przydania kaligrafów do grona ekspertów. Poszła korespondencya do Wilna. Tam z decyzji Nazimowa przeprowadzili powtórnie badanie trzech audytorowie i nauczyciel kaligrafii z korpusu kadetów Brzeskiego kapitan Oernrot. Potwierdzili oni jednomyślnie akt poprzedni, a jednomyślność stanowiła dowód zupełny w owoczesnem prawodawstwie proceduralnem. Sąd znalazł się w konieczności uznania mnie winnym zbrodni obrazy Majestatu i zastosowania jednej z pięciu kar, wymierzanych przez prawa polowe za (wydanie fortecy nieprzyjacielowi, ucieczkę z pola bitwy przed nieprzyjacielem, zdradę i t. p.). Ubrali się sędziowie w mundury galowe, i stojąc, wysłuchali wraz ze mną wyroku. Skazali mnie na pozbawienie rang, szlachectwa oraz na karę śmierci przez rozstrzelanie. Podziękowałem za paradeę, że huczną salwą obwieszczą wejście moje na tamten świat, chciałem tylko zaprzeczyć aktowi, który niesłusznie czynił mnie kłamcą. Prezes odpowiedział mi, że protestacye żadne nie są dopuszczalne pod wyrokiem.

Obostrzono teraz wykonywanie regulaminu więziennego. Nowy lustrator wart, kapitan Karpowicz, przyjeżdżał często i niespodzianie, a do

mego pokoju wchodził w towarzystwie oficera służbowego, jak mi się zdawało przez obawę, abym się nie rzucił na niego. Wyraźniejsem jeszcze tchórzostwem odznaczył się podporucznik Szymon, Niemiec sążnistego wzrostu. Ja zużytkowałem niepospolitą sytuację na pogłębienie swoich studyów historycznych: czytałem opowieść Tacyty o spisku Pizona, uprzytomniając sobie sposoby umierania skazanych przez Nerona Rzymian i Rzymianek. Przez czas jakiś nie dopuszczano nikogo do mnie.

Po upływie mniej więcej tygodnia spostrzegłem przez okno zajeżdżającą karetę gubernatora, potem usłyszałem prezentowanie broni przez szyldwachę i otwieranie drzwi. Wszedł Krieger. Ukłoniłem się z wyrazem pytającym. Powiedział, że przyjeżdża odwiedzić mnie i zapytać, czy nie potrzebuję czego. Wtedy podsunąłem mu jedno z dwu krzeseł i odpowiedziałem, że nic nie potrzebuję.

— Cóż, czy tak Panu tutaj dobrze? — pytał dalej.

— Nie najgorzej — odpowiedziałem.

— Przysłano mi wyrok sądu wojennego; czy nie podasz Pan prośby o ulaskawienie?

— Nie.

— Mniemasz Pan, że wyrok wykonany nie będzie?

— Takiej pewności mieć nie mogę, ale wy-

rok jest tak wymowny, że zbytecznymi byłyby moje komentarze.

— Cóż atoli miał zrobić sąd, któremu Pana osądzić kazano, kiedy nie chciałeś powiedzieć ani jednego nazwiska, wyjaśnić ani jednego faktu?

— Osądzić nie znaczy obwinić; można uniewinnić, albo przekazać sprawę do woli Bożej (иπε-  
дать дѣло волѣ Божіей) w braku dowodów winy. Sądy ludzkie mają wyrokować tylko na podstawie dowodów i poszlak, ale sąd pułku Koporskiego składał się zapewne z Zeusów olimpijskich!

Zakończył cierpką rozmowę Krieger charakterystycznem wielce rozwiązaniem zagadki procesowej: »A mówiłeś Pan, że jesteś prawnikiem i wszelkie następstwa przewidzieć możesz«.

Odjechał z niczem. Zapewne dał wskazówkę do złagodzenia rygoru, bo pozwolono na odwiedziny matce. Trzymała się doskonale: powinszowała mi zaszczytu. Ale Chmielewski lekarz przysłał mi ostrzeżenie, że w oczach jej zauważył niepokojące oznaki: więc dla uspokojenia jej nerwów radził pozwolić na podróż do Wilna. Pozwoliłem pójść do gubernatora generalnego Nazimowa. Ten przyjął ją czule, trzymał jej ręce w swoich dłoniach i zapewniał, że wcale o mojej sprawie nie wie! Pocieszał ogólnikowemi obietnicami.

Był to człowiek dobrego serca, tylko słabej

głowy. Podpisując krwiożercze decyzje, był pewnym, że je zneutralizuje drogą łaski monarszej. Zabrał też mój wyrok do Nowogrodu na uroczystość odsłonięcia pomnika tysiącoletniej rocznicy przybycia Ruryka i przedstawił cesarzowi Aleksandrowi do ułaskawienia, ale doznał odmowy. Cesarz kazał skierować sprawę w porządku prawnym, a więc do Generał-Audytoru.

Było to najpomysłniejsze dla mnie zdarzenie. Żeby mię rozstrzelać miano, nie przypuszczałem. Po wizycie Kriegera narysowałem nawet w karykaturze (przechowanej do dziś dnia) Szymona, jak szykuje pluton do strzelania, ja zaś pokazuję mu figę przed frontem. Ale groziło mi inne niebezpieczeństwo. Kodeks wojskowy określał ułaskawienie, jako zniżenie kary o jeden lub o dwa stopnie, to znaczy: zamianę śmierci naturalnej na cywilną, albo na roboty ciężkie dożywotnie, i za taką łaskę żądanoby odemnie wdzięczności. Tymczasem generał audytor (podobno Kaufman), przejrzawszy akta procesu, skasował wyrok i napisał do Nazimowa, że sądownie skazanym być nie mogę, lecz administracyjną karę zesłania zastosować mocen jest gubernator generalny, jeśli uzna potrzebę wydalenia mnie z kraju.

Takie wiadomości powziąłem z opowiadań ludzi życzliwych; zgadzały się one z rezultatem



ostatecznym, ujawnionym urzędowo przez ustne zawiadomienie tylko. Przyjechał mianowicie oficer adjutant Kriegera, żeby powiedzieć mi, że nadeszła confirmacya wyroku bardzo łagodna, bo wskazująca miasto Ufę na mieszkanie bez pozbawienia praw stanu. Porównał przytem Ufę z Rzymem, podobnie rozłożoną na siedmiu pagórkach. Zapytał nadto, czy nie mam żądań jakich. Podziękowałem za grzeczność i prosiłem o możność sprowadzenia kupców i rzemieślników dla sprawienia odzieży i przyborów podróżnych.

Na tem zakończył się proces polityczny, który ciągnął się przez 10 miesięcy bez dwóch dni. Wina moja została określona następnemi słowy, nacechowanemi subtelnością jurysprudeneyi rosyjskiej: »przechowanie dzieła z zuchwałemi i obraźliwemi wyrażeniami o świętych Osobach Cesarzów, spoczywających w Bogu Aleksandrze I i Mikołaju oraz panującego dziś Aleksandra Mikołajewicza, z jawnym zamiarem rozszerzania dla wzburzenia ludności tutejszego kraju«.

---

## ROZDZIAŁ V.

### Wygnanie.

---

W kilka godzin po wizycie adjutanta zajechał końmi gubernatorskimi Bortnowski przed

odwach, a następnie z oficerem »dyżurnym« wszedł do mojego pokoju, uściskał mię, ucałował i rzekł: »No, zabieraj się, panie Tadeuszu! Wziąłem Ciebie na porękę«.

Przywiózł mię do Kriegera, który był tak uprzejmy, że pozostawił mi swobodę załatwiania wszelkich interesów w mieście bez ograniczenia czasu. Miałem oznajmić sam o terminie wyjazdu. Dowiedziałem się później, że zgodził się wypuścić mię z aresztu na usilne prośby Bortnowskiego, ubezpieczone zaklęciem na los 8-ga jego dzieci. Podziwiałem to serce, niepomne doznanej odemnie urazy, i to tem bardziej, że nie zatroszczyli się o mnie członkowie Urzędu Włościańskiego, ziemianie, zamożniejsi wielokrotnie od niego, a ze mną ściślej zbliżeni obcowaniem w ciągu burzliwych kilku miesięcy.

Od gubernatora przyjechałem dorożką do matek i do panny Jadwigi, a następnie ulokowałem się w hotelu Litewskim. Przez parę dni obliczaliśmy ilość czasu potrzebnego na przygotowanie do ślubu i do podróży; trzeciego dnia zażądałem od Kriegera pozwolenia na zawarcie ślubu w Kownie; otrzymałem je telegraficznie od Nazimowa pod warunkiem, żeby się nie dopuszczono żadnej demonstracyi. Do warunku tego zastosowałem się ściśle.

Żeby się utrzymać na stanowisku kronikarza czy pamiętnikarza politycznego, wyłączę

z narracyi niniejszej kombinacye ekonomiczne i poezyę liryczną kojarzącego się małżeństwa. Zannotuję tylko w dziale pierwszym, że sprzedaż ruchomości moich nie stworzyła pokaźnego funduszu przy niewielkiej ich wartości i nieporządnej manipulacyi, niezabezpieczonej od okpiwanteryi, jak n. p. z mundurem profesorskim galowym, który został wydany zięciowi Wasiljewowi bez odbioru pieniędzy; przyjąłem przeto ofiarowane mi przez Bortnowskiego i Żylińskiego, zdegradowanego marszałka, pożyczki 300-rublowe oraz kilkaset rubli od panny młodej, która oddała mi dar swojej matki i oblig ojczyma na 2500 rubli z lekkomyślną, ale ujmującą bezinteresownością. W dziale drugim psycholog miałby dużo do opisanja uczuć wrażeń przyjemnych i posępnych, szczęścia kochanków i smutku matek, radości, wesela i łez pożegnania.

Ślub odbył się w kościele Augustyanów, dzisiejszej katedrze, d. 15 października starego stylu (27-go nowego) 1862 roku; nazajutrz zameldowałem się do wyjazdu, na trzeci dzień stał się wachmistrz żandarm Siwokoń z torbą, zawierającą papiery i pieniądze na opłacenie poczty dwukonnej; wyjechaliśmy jednakże nie końmi, lecz drogą żelazną, świeżo wykończoną. Połowę wagonu zajęła rodzina i asystencya nasza przyjacielska; w Wilnie, w hotelu Poznańskim, spędziliśmy ostatni wieczór, a na dworcu

nastąpiło ostateczne pożegnanie. Żałosny był widok obu matek, szczególnie mojej, przeczuwającej, że traci swego jedynaka. Po powrocie do Kowna zachorowała na zapalenie płuc, wyzdrowiała, odjechała do Mińska, lecz przeżyła nie długo to bolesne pożegnanie. Przysłano mi jej pismo przedśmiertne, zaczynające się od słów: »Ach, jak smutno umierać, nie mając przy sobie rodzonego dziecka«... Pani rejentowa, oprócz mojej Jadwisi, miała jeszcze dwie zameżne córki i syna; widywała ich jeszcze w 1863 i 1864 r., chociaż przez kratę więzienną.

Do Petersburga jechaliśmy w wagonie 2-ej klasy; żandarm umieścił się w tym samym przedziale. Ponieważ trzeba było opłacić bilet jego z naszej kasy, więc dla oszczędności przenieśliśmy się w dalszej podróży kolejowej do klasy 3-ej. Zatrzymaliśmy się na kilka dni w Moskwie, w hotelu zwanym Numerami Czełyszowa. Pozwolenie w kancelaryi gubernatora generalnego otrzymałem z łatwością; żandarm pozostawał w hotelu, jeśli wychodziłem bez żony; jeżeli zaś wychodziliśmy oboje, szedł za nami drugą stroną ulicy, stosując się do otrzymanej od Kriegera instrukcyi, żeby nie następować na pięty, ale nie spuszczać z oka. Chciałem odwiedzić dawnych znajomych rodaków i Kapustina, któremu należała się odemnie wdzięczność za świadczoną mi życzliwość. Nie wiedziałem, że w ciągu dwu lat

ubiegłych zachodziło przewartościowanie pojęć czy popędów liberalnych u Rosyan w stosunku do Polaków. Katkow obmyślał już swoje waleczne wystąpienie przeciw Hercenowi, nietykalnemu podówczas i potężnemu wydawcy »Kołokoła«. Kapustin, należący do redakcyi »Ruskiego Wiestnika«, nie odpowiedział na pismo, w którym wspomniałem o żandarmie moim, i nie przyjął, gdym się zameldował kartą wizytową. Inaczej zachował się Polak, profesor Piechowski: przyszedł do hotelu z gorącą przemową i hołdem dla »godnej małżonki« wygnańca; przychodziła też młodzież uniwersytecka, znająca moje nazwisko z tradycyi koleżeńskej. Jakiś stary nieznany mi dawniej nauczyciel korpusu kadetów zaprosił nas na wieczorną herbatę i ugościł patriotyczną dyskusyą w gronie swoich przyjaciół. Zasłyszałem później, że był aresztowany, sądzony i skazany na ciężkie roboty. Nazywał się Marks.

Droga żelazna dochodziła wówczas do Niższego Nowogrodu. Tam naczelnikiem komunikacyj wodnych był inżynier Wejtko, przyjaciel Żylińskiego. Uprzedzony listem jego przyjął nas z największą możliwie usłużnością, bo wśród zamarzania rzeki Wołgi znalazł ostatni odchodzący statek parowy, który zabrał nas i przywiozł pomyślnie i bezpłatnie do Kazania. Od tego miasta dopiero zaczynała się podróż wo-

zowa. Kupiłem tarantas wypróbowanej wytrwałości na przestrzeni 6-u tysięcy wiorst przebytych i kazałem podprzegać trzeciego konia do dwóch, opłacanych przez żandarma. Po grudzie przy 18 stopniach mrozu, ale przy słonecznej pogodzie, w galopie nieustannym, z małemi przygodami od nieuwagi woźniców Tatarów, dojechaliśmy we cztery dni do Ufy. Tu spotkała nas niespodzianka: gubernator Aksakow powiedział mi, że uzyskał od gubernatora generalnego, Bezaka, przeznaczenie do Orenburga dla nas na miejsce zamieszkania. Skargę na znużenie długą podróżą załatwił zapewnieniem, że będziemy mieli do przebycia tylko 350 wiorst doskonałej drogi.

Po trzydniowym wypoczynku i pogawędce z kilku osiedlonymi już wygnańcami, pomiędzy którymi znajdował się energiczny i dowcipny kanonik Bojarski, proboszcz z dyecezyi lubelskiej, podobno z Krasnostawu, puściliśmy się znowu w drogę, przeprowadzeni troskliwie na łodzi przez zamarzającą rzekę Białą pod okiem samego policmajstra z tarantasem i całym 18-pudowym bagażem. Wjechaliśmy wkrótce do Baskiryi. Na jednej stacyi pocztowej przyszedł do nas poczthalter pułkownik Dawletszyn, zaciekawiony asystencyą żandarma. Oświadczył się z sympatją, porównywując dolę swojego kraju z losami Polski. Odwiedzał nas później



i w Orenburgu. Gdyśmy dojeżdżali do miasta, wyszedł pogrzeb z bramy miejskiej, która była pozostałością dawnej fortecy z czasów Pugaczewa. Pomyślałem, ukrywając tę myśl przed żoną, że spotyka nas wróżba nieszczęścia.

Nie myliłem się, w Orenburgu bowiem rozsnuło się długie pasmo naszych nieszczęść i cierpień.

Pierwsze wrażenia jednakże były dość miłe. Zaledwośmy zajęli numer w hotelu »Antona«, zapukali zaraz do drzwi dwaj Polacy, Żegota i Łukaszewicz, ofiarując swoje usługi. Byli to urzędnicy, przebywający tutaj z własnej woli — dla chleba; mówili zepsutą polszczyzną, ale zachowali serca polskie, które zbudziły się u nich na widok żandarma naszego. Zapraszali tak usilnie, żeśmy poszli do nich zaraz po rozpakowaniu tłomoka z ubraniami. Dzięki ich radom, wynajęliśmy dogodny lokal o dwu pokojach z przepierzeniem, tworzącym pokój trzeci i z kuchnią w suterynie, kupiliśmy niezbędne meble i sprzęty, znaleźliśmy kucharkę. Z przyjemnością przekonałem się, że moja żona, czytana w belletrystyce polskiej i francuskiej, umie też doskonale przyrządzać obiady podług przepisów przywiezionej w walizie »Kucharki Litewskiej«, arcydzieła pani Zawadzkiej. Zaprosił się na stolownika Maciulewicz, rządca domu i budowniczymiejski, kształcony w Akademii Sztuk Pięk-

nych petersburskiej. Dla mnie cennemi się stały jego wiadomości, czyli raczej ogólnikowe pojęcia o używaniu farb akwarelowych. Przewidując długą bezczynność w dotychczasowym zawodzie swoim, powziąłem zamiar zwalczać nudę próżniactwa malarstwem, a dawniej w gimnazjum i szkole niedzielnej Stroganowskiej uczyłem się tylko rysunku kredką, i to nie z natury, lecz z wzorów. Cóż dziwnego, że nadaremnie trudziłem się nad wynalezieniem farby cielistego koloru, zamalowując kilkadziesiąt twarzy szkicowo nakreślonych. Otóż Maciulewicz wytłomaczył mi, że kolor cielisty otrzymuje się przez skojarzenie blików z półtonami i cieniami różnych kolorów. Zastosowałem tę naukę na portrecie proboszcza ks. Januszkiewicza, który był łaskaw pozować mi cierpliwie i wyszedł z pod mego pędzla podobny, rumiany, ale skarykaturowany, bom posiadał zdolność chwytania podobieństwa, ale byłem niedokładny w rysunku.

Przedstawiłem się Bezakowi. Powiedział mi, że powinienem pracować w jakimś biurze rządowym, bo tu potrzebni są ludzie wykształceni, zachowywać się spokojnie, nie robić demonstracji — zresztą coby tu było do robienia! I odszedł, machnąwszy ręką. Poszedłem do dyrektora jego kancelaryi i powtórzyłem słowa generała, lecz nie widziałem przychylnego wrażenia: więc

poprosiłem tylko o wstęp do biblioteki z pomysłnym skutkiem.

Ksiądz proboszcz oznajmił mi, że istnieje spora biblioteka w kościele, po dawnych wygnańcach, nieuporządkowana. Podjąłem się sporządzenia katalogu. Znalazło się kilkanaście dzieł historycznych — najwięcej Capefigue'a.

Orenburg — siedlisko administracyi rozległego kraju, zwany miastem generałów (gienieralskij gorod) liczył ze 40.000 ludności różnoplemiennej i różnowarstwowej: Kozaków, Tatarów i Wielko Rosyan handlujących lub urzędujących w Zarządach: Baszkirskim, Kirgizkim, Wojskowym, gubernialnym etc. Jako ludność niestała, ukazywali się koczujący Kirgizi, pół-osiadli Baszkirowie, kupcy z Chiwy, Buchary etc. Warstwa inteligencyi europejskiej była cienka, a skupiała się w śródmieściu, nie dosiegając przedmieść czyli t. zw. słobódek: więc rychło dowiedziała się o przybyciu ex-profesora gimnazyalnego. Otrzymałem zaraz tyle zamówień na lekcye prywatne, żem obliczał swój dochód miesięczny na rubli 70, które wystarczały na zaspokojenie potrzeb domowych. Mogliśmy nawet urządzić przyjęcia tygodniowe dawniejszym obyczajem z herbatą i kolacją gorącą, acz skromną. Do grona znajomych przybyli: aptekarz i lekarz ze szpitala wojskowego, kilku oficerów Polaków, audytor wojskowy, wszyscy żonaci. Obcowanie

towarzyskie z nimi było niełatwe z powodu różnicy w usposobieniach umysłowych, ale pociągało pobratymstwem plemiennem, żywiej odczuwanem wśród obcego otoczenia, i doznawanymi objawami ich życzliwości.

Na szarem tle tak uregulowanego bytowania pojawił się pierwszy błysk piorunowy w końcu stycznia, czy w lutym 1863 r. — wiadomość o wybuchu powstania zbrojnego w kraju naszym. Z zapartym oddechem wyszukiwałem w cenzurowanych gazetach informacji lub chociażby poznak co do organizacyi wojskowej, sił bojowych, zasobów finansowych etc. Wobec trudności rozwiązywania takich zadań i grozy potężnego nieprzyjaciela pragnąłem, aby każdy Polak, bez względu na poglądy stronnice, na przekonania polityczne, na przesady klasowe, zaciągał się do służby powstańczej, albo na żołnierza, albo na cywilnego urzędnika, albo przynajmniej na kontrybuenta, gdyż w razie przegranej wróg mściwy i bezlitosny zgotuje zagładę narodowi polskiemu. Jakże przerażająco brzmiała depesza o wyparciu dyktatora Langiewicza za granicę austryacką, a na sprawdzenie i wyjaśnienie tego faktu trzeba było czekać sześć tygodni, bo Wołga swymi wiosennymi przewrotami przerywała komunikację pocztową z Europą! Sprawdziły się (niestety!) najgorsze wieści, i objawiły się widomie skutki klęsk partyzantki na-

samprzód w kolonizacyi Orenburga wygnańcami. Stwierdzała się przestroga Aleksandra II: »Je saurai sévir«.

Przybywali mężczyźni i kobiety wszelkiego wieku, stanu i wykształcenia: szlachta zagonowa ze spalonego do szczętu zaścianka Szczuki (na rozkaz Murawjewa, który zluźował w Wilnie Nazimowa i osadził swego syna w Kownie na posadzie Kriegera, a Skworcowa w Grodnie); 20-letni syn magnata polskiego, Jan Brzozowski, który po matce swojej, Elizie hr. Zamoyskiej, odziedziczył skromność i oszczędność dla siebie, a hojność tajoną dla drugich, dla udręczonych niedostatkiem; Aleksander Szumowski z żoną i matką-staruszką, nauczyciel gimnazyalny z Kijowa, wsławiony tam pedagog, specjalista geograf i nienasycony czytelnik gazet dla kombinacyj teoretyczno-politycznych; pani Ottonowa Weyssenhofowa z młodą siostrzenicą, panną Zabielską; pan Zaleski niejaki, dziedzic na Pietruszkach, który przyjechał z żoną we własnej karecie i rozwinał talent niepospolity zaciągania pożyczek niesplacalnych; Kostrowicki Adam bez żony, która została w powiecie Dzisieńskim, jako pełnomocniczka do zarządzenia majątkiem ziemskim trzech braci, i wykwitowała ich małemi sumkami, wychodząc za mąż za Rosyanina, szlachcic twardy, ale uczuciowy i uczciwy; wiele młodziży, skazanej przeważnie z ławy szkolnej na

żołnierzy szeregowych do batalionów orenburskich — pomiędzy nimi żyd, patryota polski, powstaniec «z lasu», nazwiskiem Senator, dwóch książąt Czetwertyńskich, braci rodzonych, i Bronisław Werner, który niebawem doczekał się 60-letniego ojca, ziemianina, przywiezionego na mieszkanie, ale zabranego wkrótce na odwach skutkiem wytoczenia mu nowej sprawy o żywienie oddziału powstańców; starzec Muszyński, dyrektor wydziału w Komisji Przychodów i Skarbu, wysoki urzędnik, pobierający połowę pensyi; młody bankier, Józef Rawicz; ziemianin z Wołynia, Antoni hr. Dunin, z żoną i dwiema córeczkami; redaktor Kurjera Warszawskiego, Kucz, mecenas Wincenty Majewski, małżonkowie Krysińscy i inni jeszcze, których nie wyliczę. Zналиśmy się wszyscy, grupując się jednak w kilka stronnictw: arystokratyczne, demokratyczne, kapitalistyczne i gołogolskie, a wreszcie wedle pociągu psychicznego. Taki pociąg zbliżył nas najściślej z Zarembami.

Pewnej niedzieli w kościele zauważyliśmy nowoprzybyłą młodziuchną parę. Po nabożeństwie ta para zastąpiła nam drogę i zaprezentowała się: on jest porucznikiem, przeniesionym z artylerji do batalionu orenburskiego za nieprawomyślność polityczną; ona — warszawianką i małżonką jego od kilku tygodni. Prosili o znajomość. Chętnie. Zaprosiliśmy do swego mieszka-



nia, a potem, nie czekając nawet pół godziny, obowiązującej podług monarszych ceremoniałów, rewizytowaliśmy ich i osiągnęliśmy doskonale porozumienie: »Edzio«, o ile nie chodził na odwachy na służbę wartowniczą, malował akwarelę. Miał wprawę we władaniu pendzlem, nabytą w korpusie kadetów przy malowaniu planów, ale, zabierając się do figur lub widoków, podkładał cienie tuszem. Zawarliśmy przymierze, udzielaliśmy sobie wzajemnie spostrzeżeń i, podwajając tym sposobem swe siły samouckie, wkroczyliśmy na drogę, jaką przebyła sztuka europejska od czasów Giotto do połowy XIX w. Obfitą skarbnicę tajników artystycznych stanowiły dla nas szkice akwarelowe dobrego malarza, Czernyszewa, i wykonany przez niego portret olejny generała Perowskiego. Posiedliśmy sekret półtonów i cieni, odważyliśmy się na malowanie farbami olejnymi.

Odmianę w trybie życia naszego prywatnego sprawiły oczekiwane i urzeczywistnione dnia 20 sierpnia (2 września) 1863 r. urodziny niemowlęcia — Wandzi. Przeprowadziliśmy się wówczas z ulicy Nieplujewa (założyciela korpusu Kadetów) na Wodianą z trzech pokoiów większych do 5-u malusieńkich, cenionych tak samo na 10 rubli miesięcznie; *żona była zdolną i karmić, i niańczyć, i prac pieluszki*. W parę miesięcy potem nadarzyła się nam niańka, przy-

wieziona niedawno z Litwy; spodziewaliśmy się, że nucone nad kolebką piosnki polskie ubezpieczą słuch dzieciny od nacisku dźwięków z obcego otoczenia. Maryanna dobrze wyśpiewywała o babulce rodu bogatego z przyśpiewką «szrydrydy-mach-ciach-ciach rodu bogatego», ale była niecierpliwa i niesumienna. W naszej nieobecności dała dziecku stoczyć się na podłogę z łóżka. Następstwem wstrząśnienia czy uderzenia główki było zapalenie mózgu. Ciężka choroba trwała cztery miesiące; w czuwaniu nocnem dopomagali nam Duninowa, matka chrzestna, i Rawicz. Najwięcej wszakże zdziałał umiejętnością i troskliwością swoją zacny lekarz Humborg, który leczył wszystkich wygnańców gorliwie i bezpłatnie, bo sam był dawniejszym wygnańcem z Kijowa za Brynkeniadę »czyli rzecz o barbarzyństwie Brynkenowem i onegoż w amfiteatrze mordowzięciu«.

Tejże zimy zmarł mój ojciec, i uwięzioną została matka mojej żony. Proces jej zakończył się skazaniem na ciężkie roboty w Syberyi z konfiskatą mienia, a ponieważ majątek ziemski był zapisany na wspólną własność z mężem, Jurewiczem, więc jego połowa była wzięta pod sekwestr do czasu rozgraniczenia. Starzec postanowił towarzyszyć uwielbianej nie tylko przez niego, ale i przez wszystkich skazańców matronie: oboje tedy znosili udręczenia etapów, aż, za-

trzymawszy się w Kazaniu w »Peresylnej turmie«, zarazili się tyfusem więziennym. Śmierć rozdzieliła ich tylko na dwa tygodnie. Mieli przy sobie wychowankę; tę sprowadziliśmy do Orenburga, nie przewidując, że będzie nas tyranizowała kaprysami i histeryą, która wywoływała ataki choroby św. Walentego. Wcześniej umarła matka moja, przygnębiona licytacją na rynku w Mińsku powozów, cugów, ubrań, mebli z pałacu Świętorzeckiego, który własnym kosztem i staraniem uzbroił oddział powstańczy.

Rozumie się, że ciosy takie spadały nie na jedną naszą rodzinę. Wszyscy moi koledzy i mnóstwo znajomych znalazło się z tej lub owej strony gór Uralskich. Dowiedziałem się, że Konrad Chmielewski jest przywieziony do miasta powiatowego Wierchnieuralska. Na powitanie posłałem mu nowiny, zaczerpnięte z francuskiej gazety o utrzymujących się jeszcze w polu podczas zimy partyach powstańczych, szczególnie Haukego-Bosaka. Podpisałem się swymi inicjałami: T. K. Ten list przyszedł jednocześnie z rozkazem otwierania bez ceremonii korespondencji naszej, wygnańczej. Wykonał to naczelnik powiatu (isprawnik) i... przeraził się. Przy wątej wiedzy historycznej zawnioskował, że ma w ręku pismo samego Tadeusza Kościuszki. Odkrycie takie wraz z dokumentem autentycznym posłał do t. zw. »Trzeciego Wydziału« czyli za-

rzędu korpusu żandarmów. Tam przecież wiadano, że Kościuszko nie żyje od dawna, więc odesłano list mój do gubernatora cywilnego, a ten, przyjechawszy do Orenburga, wręczył policmajstrowi, który poznał charakter pisma, przywołał mnie, obrzucił napomnieniami i groził wywiezieniem do Baszkiryi. Scena zakończyła się polubownie: ja upomniałem się o grzeczność, policmajster (Fiodorow) zwrócił mi list z łagodną radą, aby podobnych na przyszłość nie pisywać. Był mi życzliwym, bom dawał lekcyę jego dzieciom — za opłatą normalną i rzetelnie uiszczaną.

Nie było już pobudki do udzielania nowin wojennych, kiedy powstanie upadło ostatecznie. Udzielaliśmy sobie wzajemnie chyba samych wieści ucisku, niedoli, nieszczęścia, przynoszonych przez druki i korespondencyę prywatną. Zdarzały się pomiędzy nami wypadki samobójstwa z rozpaczey. Rosyanin gardzi słabym, ponieważ go: więc srożył się i nad krajem pokonanym i nad nami, bezbronnymi jeńcami. Latem 1864 r. wybuchła w Rosyi wschodniej epidemia pożarowa. Gazeta »Gołos«, przechowująca jeszcze przez czas jakiś nastrój liberalny, zamieściła głęboko liberalny artykuł o podpalaniu dla rabunku i przez zemstę; przytoczyła nawet wyrażenia ludowe, upiększające zbrodnię: puścić czerwonego koguta (pustit' krasnoho pietucha). Ale pospółstwo upatrzyło wówczas sprawców

pożogi w Polakach i groziło, że gasić nimi będzie płomienie. Opowiadano, że w spalonym do szczytu Symbirsku wrzucono kilku do ognia. W jesieni Bezak wezwał nas wszystkich do pałacu rządowego i miał mowę tej treści, że jeździł do Petersburga, gdzie dał o nas dobre świadectwo cesarzowi, ale w ciągu powrotnej podróży słyszał wszędzie oskarżenia Polaków o podpalenia. To zmusza go do zapowiedzi, że przy pierwszym pożarze, jakiby się zdarzył w Orenburgu, roześle nas do wsi baszkirskich, »ponieważ — dodał z powagą filozofa — miasta rosyjskie nie na to są zbudowane, abyście wy je palili«. Odezwał się Kostrowicki z protestacją, lecz nie był słuchany. Po wyjściu z audyencji ułożyliśmy i podpisali prośbę, aby na koszt nasz wynajęto dom taki, w którymbyśmy się wszyscy zmieścili; poddamy się aresztowi; niech nas pilnują straże: ale niech tym sposobem cześć nasza nietykalną pozostanie. Prośby nie przyjęto, ale i groźby nie wykonano, chociaż bywały pożary nieuchronne w tem mieście z domami po większej części drewnianymi, szczególnie na Słobódkach, przy nieostrożnem nastawianiu samowarów i rozwielniożnionem pijaństwie w święta. Podejrzliwość względem Polaków nie ustawała jednakże. Przekonałem się o tem z następnego faktu. Mieszkaliśmy przez kilka miesięcy w domu oficera kozackiego, Nagajewa, bardzo ugrzeczni-

nego i do stosunków towarzyskich pochopnego. Złożył nam wizytę z żoną swoją, zaprosił nas na jakąś uroczystość familijną, prezentował swoim gościom po przyjacielsku. W zimie, przy mrozie 30-stopniowym, wybuchnął pożar w przyległej posesyi. Dla mnie był to wypadek porażający, ponieważ żona przed kilku dniami powiła synaczka. Nie wiedziałem, czy mam wynosić ją na mróz z łóżkiem, czy w kołdrze i futrze. Szczęściem śnieg nie dopuścił ognia do naszego podwórza. Aliści nazajutrz przychodzi Nagajew do mnie; opowiada, że pod parkanem znaleziono jakąś paczkę z materiałami palnymi i przeproszał mię, że doniósł o tem policyi. Cóż znaczyły te przeprosiny? Nie chciał mi powiedzieć wyraźnie, ale ja wypowiedziałem mu znajomość i mieszkanie. Wyprowadziłem się jak tylko pozwoliło zdrowie położnicy, zachwiane mylnem zażyciem lekarstwa, chorobą i śmiercią noworodka.

Minister oświaty w Petersburgu powziął innego rodzaju obawy i podejrzenia: że Polacy przez nauczanie dzieci wzniecą w Rosyi pożar buntu i rewolucyi; więc okólnikiem zabronił im zajęć pedagogicznych. Na razie nie znalazł posłuchu w Orenburgu. Isiejew, szlachcic, właściciel dużych dóbr ziemskich, spokrewniony z dygnitarzem Timaszewem, ożeniony z córką prezesa zarządu kirgizkiego generał-lejtnanta Ładyżeń-



skiego, oświadczył mi, że nie przyznaje ministrowi prawa kierowania nauką jego dzieci, i prosił, abym nadal prowadził swoje wykłady. Nie usłuchał też policmajster, wyrozumiawszy, że Bezak nie podziela takich szykan. Ale gdy nastąpił wyjazd Bezaka do Kijowa, a przyjazd na jego miejsce Kryżanowskiego, gubernatora wojennego z Warszawy, stosunki nasze zmieniły się nagle. Urzędnicy na pierwszej prezentacji usłyszeli pogrózkę, że każdy dostanie dymisyę, kto Polaka przyjmie na nauczyciela; aptekarz (Keller) otrzymał rozkaz, aby wydał farmaceutę Żółkiewskiego. Pozbawiony skromnego zarobku biedak poszedł z lamentami do rozkazodawcy i zapytał, z czegoż ma żyć. Kryżanowski bez namysłu odpowiedział: »Żyj pan z czego chcesz« (żywitie czem chotitie), i odszedł precz od niego.

Straciłem całą klientelę swoją, która składała się właśnie z urzędników po wyjeździe Isiejewa do Petersburga. Stałem się dla nich zapowietrzonym siewcą nieszczęść. Przy spotkaniu przechodzili na drugą stronę ulicy, żeby nie poznać mnie i nie skompromitować się ukłonem. Kupiec, który sam proponował wydawanie towarów spożywczych na książeczkę, cofnął kredyt, gdy należność dochodziła stu rubli. A z kraju nie mogliśmy już otrzymać żadnego zasiłku, gdy rodzice żony mojej męczyli się i umierali, pozba-

wieni majątku, i po mojej matce przysłano mi kilkaset rubli zaledwo. Umyśliłem zdobyć nowe pole zarobkowania — pendzlem, sztuką stosowaną do fotografii.

Wielkiem powodzeniem cieszył się w mieście fotograf Hescheles, mianujący się Węgrem Żyd węgierski. Poznałem się z nim i po kilku sympatycznych rozmowach w języku niemieckim zaproponowałem swoje usługi do koloryzowania portretów. Przyjął propozycję w tej formie, że będzie przyjmował obstalunki i pobierał po rublu od sztuki na mój rachunek od amatorów, ale trzeba, żebym dał mu kilka okazów mojego kunsztu i zawiadomił publiczność przez ogłoszenia, rozlepione na ulicach. Wynałazłem oryginalny sposób koloryzowania fotografii punktami farb wodnych na powierzchni alluminowej oraz farbami olejnymi z pod spodu po nadaniu przezroczystości papierowi woskiem rozgrzanym. Zrobiłem 4 kartki i jeden większy owalny portret, sprawilem wielkim kosztem w stosunku do małych funduszków moich ramę rzeźbioną i oszkloną, zaniósłem do Heschelesa, wydrukowałem ogłoszenia i opłaciłem roznosiciela. Nadaremnie jednak wyglądałem zamówień. Wstępowałem do pracowni z zapytaniem, lecz otrzymywałem odpowiedź: Nein, es reizt Niemanden. Ale jednej niedzieli byłem świadkiem humorystycznej dla innych, dla mnie zaś wielce przyjemnej sceny

z subjektem kupieckim (prykaszczykiem), który, zbliżywszy się do ramy, doznał widocznie powabu jej i zapytał: ile kosztuje koloryt? Hescheles powiedział, że rubla — »Połtinnik!« powiada kupczyk. — Nie, odpiera Hescheles. »75 kopiejek« — Niemożna! »Nu, tak piszy« (t. j. maluj!), powiada kupczyk i siada. To było niepotrzebne. Obiecano mu wydać kolorowany portret nazajutrz. Uradowany pobiegłem do domu dla wykonania roboty i spodziewałem się, że upiększony brodatyasz roztrąbi sławę moją na rynku i sprowadzi tłumy kamratów prykaszczyków. Mylne nadzieje. Nikt się nie zgłaszał. W parę miesięcy dopiero dowiedziałem się od kogoś życzliwego, że Hescheles w jego obecności odradzał koloryzowanie, a na ponowne żądanie wręcz odmówił przyjęcia obstalunku.

Przedsiębiorstwo moje zostało zaprzepaszczone gruntownie: wszak w ogłoszeniu podany był tylko jeden adres Heschelesa! Odebrałem od niego ramę okazową i zawiesiłem ją na ulicy między oknami własnego mieszkania, ale to mieszkanie 2-pokojowe, 6-rublowe, położone było w suterynie, przy drugorzędnej ulicy. Zalecało się korytarzem, który je łączył z mieszkaniem przyjaznej nam rodziny Łyki, naczelnika lasów rządowych w czterech guberniach. Nastął dla nas okres najtrudniejszy: zwalczania klęski głodowej. Dawniej, po przyjeździe do Orenburga wzgardziłem

był wydawaną od rządu zapomogą: dopiero po zakazach zarobkowania zażądałem tej zapomogi od policmajstra. Przyznano mi podług taksy szlacheckiej 6 rb. na osobę moją, 6 na żonę i 3 ruble na dziecko, razem 15 rubli miesięcznie, które wystarczyć na niezbędne potrzeby nie mogły. Braliśmy z klubu jeden obiad za 12 rb. miesięcznie, zaoszczędzając jakieś grosze na mleko, bułki, cukier, herbatę, światło. Pan maître d' hôtel klubowy lekceważył takich stołowników i po jakimś czasie zaczął nam przysyłać na pieczyście »kurgaszka«, t. j. baraninę miejscowej rasy z przykrym odorem »kurdiuków«. Moja niewiasta, pokonywająca wszelkie braki, uciski i trudy z niezmąconą pogodą umysłu i doskonałą sprawnością muszkułów, nie godziła się wszakże na obrażanie zmysłu i smaku: kurgaszka tedy nie tykała i działu swego z najważniejszej potrawy wyrzekała się. Ostatecznie znalazła się taka rada, żeśmy zamówili jadło u feldwebła wojskowego — dwa obiady 5-rublowe, prostacze, ale z wyłączeniem kurgaszka.

Chociaż o przyjmowaniu gości nie było mowy zupełnie (po stopniowym redukowaniu poczęstunków), groźnie przecież wysuwała się codzienna kwestya: czem zaspokoić deficyty budżetowe? Do finansisty Muszyńskiego, który część pensyi swojej obracał na wypłaty bankiera Rawicza,

a nas odwiedzał dość poufale, poniosłem oblig, po rosyjsku prawomocnie spisany («sochrannaja zapiska») na zastaw za pożyczkę 250 rb. w gotowiznie. Odmówił. To mię onieśmieliło do innych bogaczy; nasz »ogół« znajdował się w podobnych opałach. Wypadło zabrać znajomość z lichwiarzami. Wskazano mi żołnierza Żyda, który pożyczał na zastawy. Przychodził do nas, zabierał srebrne łyżki, imbryk i coś złotego, dawał stosunkowo wysoką wedle jego szacunku sumę i pobierał 8<sup>0</sup>/<sub>0</sub> miesięcznie z góry. Po odebraniu pożyczonej kwoty zwracał zastaw rzetelnie i miał zawsze kilka życzliwych oświadczeń na ustach. Jakkolwiek drogo kazał opłacać uczynność swoją, wyznaje wdzięczność, że uratował parę razy rodzinę moją od śmierci głodowej.

Latem przybywała męczarnia klimatyczna: nieznosne upały przy suszy. Miasto obumierało; zamykały się wszystkie okiennice; po zachodzie słońca dopiero wychodziliśmy za rzekę Ural na brzeg azyatycki do »Roszczy«, t. j. gaju, zajmującego parę włók, zasadzonego podobno na rozkaz Katarzyny II. Ale i w nocy na otwartem oknie termometr wskazywał 24<sup>0</sup> R. Z upału wytwarzały się choroby dzieciinne i febry, okropne dla dorosłych. Śmiertelność też była większa od znanej w naszym kraju. Pomarły córki jedynaczki u Łyków i u Szumowskich. Step stawał się posepną szarą równiną, gdy

słońce spaliło trawę. Nie wolno nam było wyjeżdżać z miasta chociażby na kilkugodzinną wycieczkę, czego pilnował specjalny urzędnik policyjny Ulman, odwiedzający nas często w mieszkaniach. Suma tylu fizycznych i socyologicznych cierpień takie wywierała działanie, żeśmy uznawali Orenburg za piekło lub za piec Antychrysta.

W roku 1865 czy 1866 wyszedł manifest dla skazanych wyrokami sądowymi, pozwalający na przenoszenie się do bliższych gubernij. Wystąpiłem z prośbą o tranzlokacyę do Tweru; odpowiedziano mi, że jestem zesłańcem administracyjnym: więc z manifestu korzystać nie mogę.

Ratowałem się od rozstroju psychicznego malarstwem. Przestudkowałem traktat perspektywy Tenaud'a, a ponieważ znałem geometryę elementarną (gimnazyalną), więc mogłem na tem polu prześcignąć każdego pospolitego, do matematyki nie uzdolnionego artystę. Zacząłem układać szkołę rysunku z tekstem rozumowanym. Malowałem gmachy orenburskie: Karawan-Seraj, pałac generalnego gubernatora z górą i mostem przez Ural. Namalowałem olejno wewnątrz kościoła z dużą liczbą osób trafnie sportretowanych. Te zażądały kopij dla siebie na pamiątkę; fotograf wojskowy Chitryn zrobił kilkanaście egzemplarzy, które ja rozprzedałem po 4 ruble,



z dobrym dla siebie zarobkiem. Zdarzały się czasem zamówienia na fotografie kolorowane i na portrety akwarelowe. Najwidoczniejsze zaś zadośćuczynienie za pogardliwy sąd Heschelesa o mojej wystawie wymierzył mi oficer żandarm Kondyrew, jeżeli się nie mylę co do nazwiska, bo, zatrzymawszy się dłuższą chwilę pod ramą okazową na ulicy, uczuł jakiś powab »Reiz« zaprzeczany przez Heschelesa), wszedł do mieszkania i prosił mnie o lekcye malarstwa olejnego. Zgodziłem się z obawą, żeby to nie była zasadzka do ataków politycznych. Ale obawa była płonna. Lekcye odbywały się bez żadnych rozmów śledczych dwa razy na tydzień przez jakieś pół roku; pobierałem za nie po dwa ruble i w końcu, gdy pan oficer wyjeżdżał gdzieś na inną posadę, kupiłem od niego farby i stalugi porządne za pół ceny.

Lubo nie stałe i nie wielkie przychody takie — w sumie ogólnej według starannie prowadzonej książeczki rachunkowej wynoszące 560 rubli — wyzwalały mię przecieź ze szpon lichwiarskich. Nieraz przychodziła mi z pomocą przyjaźń ludzka. Szumowski ofiarował mi swoją portmonetkę, dość zasobną, ponieważ przejął moje lekcye, otrzymawszy za staraniem teściowej Roszkowskiej wyjątkowe pozwolenie z Kijowa, od Bezaka. Brałem od niego po 2, albo po 3 ruble, a doszedłem do 92. Zaremba, żeby

się wyzwolić z batalionu, podał się jako ochotnik do stepu na wyprawę pod Taszkent etc. Podjął się przytem dostaw jakichś i zarobił 2.000 rubli, a nadto otrzymał order i pożądaną dymisyę. Przejeżdżając przez Orenburg do Warszawy, pożyczył mi 200 rb. na kilka miesięcy. Zarobiłem 50 rb. od aptekarza rządowego Rosenberga, pisząc dla niego obronę prawną w sprawie o jakieś nadużycia.

Zaczął się nareszcie rozjaśniać nad nami chmurny widnokrąg. Brat mojej żony, Kazimierz Jurewicz, powrócił z Belgii do Kowna i odzyskiwał stopniowo majątek z pod sekwestru. Pierwszą troską jego było spłacenie obligu, wystawionego przez ojca. Drugi szwagier, Ludwik Kulwieć, doprowadził do końca proces z hr. Kossakowskim, ciągnący się przez lat około 30-tu, i przysłał należną mojej żonie część otrzymanej sumy 1.500 rb. Było więc z czego spłacić kupca i Szumowskiego i parę innych kwot. Po wyjeździe Łyków przeprowadziliśmy się do wygodniejszego mieszkania na ulicy Wodianej, wzięliśmy kucharkę (Lubow') z dziewczyną (Polą), która się przywiązała do nas szczerze i pomagała w niańczeniu Wandzi, nauczywszy się rychło mówić po polsku. Przyjęcia wznowiły się skromne, bez obżarstwa, ale ożywione rozprawami o literaturze, odradzającej się w Warszawie..., no, i o sprawach krajowych.

Przy orzeźwionym umyśle ozwały się dawne rojenia o historyi. Pamiętając doświadczenia i spostrzeżenia, zebrane w gimnazyum kowieńskim, uczulem potrzebę napisania dla uczniów gimnazyalnych podręcznika, wyświetlającego splot wysileń zbiorowych i oddziaływanie wzajemne wszystkich narodów Starego Świata, sam zaś dla siebie chciałem nauczyć się lepiej historyi narodów istniejących, wykładanej w uniwersytecie moskiewskim zaledwo w kilku małych i luźnych fragmentach. Zacząłem od wieków średnich. Naturalnie, o pracy samodzielnej, źródłowej w Orenburgu niepodobna było pomyśleć. Możliwą była tylko kompilacya z własnem ugrupowaniem materiału i mniej więcej udatną stylizacyą wykładu. Z biblioteki kościelnej i z przywiezionych w walizie własnych książek wybrałem cztery dzieła za podstawę do piątego, swojego. Rozkładałem je na krzesłach przy sobie, a żona zasiadała przy stole, gdyż ofiarowała się na sekretarza i pisała za dyktandem mojem. Doskonale sprawowała swój urząd<sup>1)</sup>: pisała czytelnie, kształtnie i bez najmniejszych pomyłek, nawet w wyrazach cudzoziemskich, które kopiowała, nie rozumiejąc znaczenia i pochodzenia.

---

<sup>1)</sup> Dożywotni, jak się okazało później. Wszystkie dzieła moje, drukowane w Krakowie albo we Lwowie przed rokiem 1905, były przepisane jej ręką.

Tak upływały powszednie wieczory, dnie zaś schodziły mi przy sztalugach, bom zamierzył odmalować na wielkim obrazie (2.00  $\times$  1.00 m.) całą etnografię kraju orenburskiego: Tatarów, Baszkirów, Kirgizów z ich namiotem wojłokowym (»kibitką«), Chiwańczyka na małym, ale silnym osiołku, całą ambasadę bucharską, której przypatrzeć się miałem sposobność, mieszkając pod jej lokalem w onej suterynie, i Rosyan, załatwiających z nimi interesy handlowe na rynku obszernym bardzo, zwanym »Mienowej Dwor«. Szkice z natury robiłem, wyjeżdżając tam omnibusem 3-kopiejkowym na kilka godzin przedpołudniowych latem z niemałym utrudzeniem; pot i kurz zmywałem w rzece Uralu, wracając do miasta.

Tymczasem rozwinął się ruch ulgowy w naszej gminie wygnańczej. Dawały się już wyjednać przenosiny, albo i wyzwolenia. Przybył z Wierchoturja Butowtt, niepospolity spekulant, który twierdził, że z 6-u rubli można nie tylko wyżyć, ale i coś zaoszczędzić każdego miesiąca. Podobno dokazał tej sztuki, urządziwszy kolonię dla współtowarzyszy z gospodarstwem składkowym i rozdzielaniem proporcjonalnie kosztów, a z czyszczeniem butów za oddzielną opłatą, przy wszelkiem poszanowaniu honoru szlacheckiego. Przyjechał z Tobolska hr. Maryan Czap-ski z rękopisem znakomitej swojej »Historji Ko-

nia«. Był pozbawiony majątku osobistego i praw stanu, ale w papierach urzędowych napisano mu tytuł nielegalny: »bywszyj graf«, co pobudziło Kryżanowskiego do wymyślenia dowcipnej szynki: wyznaczył mu miejsce pobytu w Troicku, mieście powiatowem tej samej gubernii, ale za góralami Uralskimi, w sąsiedztwie z gubernią Tobolską. Przytem kazał zapłacić 128 rubli kosztów pocztowych za siebie i za żandarmów eskortujących, a w razie niezapłacenia odbyć 800-wiorstową podróż etapem. Nie miał takiej sumy w pugilaresie wywłaszczony pan Kiejdan, bo z dóbr zmarłej żony wołyńskich pobierał małe dożywocie, żeby nie zubożyć dzieci. Byliśmy wówczas tak zamożni, że ja, chudy pacholek, mogłem ofiarować ex-magnatowi natychmiastową pożyczkę i wyprawić go uczciwie po tygodniowym wśród nas pobycie.

Nadchodzących coraz częściej pozwoleń powrotu Kryżanowskij nie mógł przeinaczać: więc wyjeżdżali najprzód koroniarze do Warszawy, potem Dunin, któregośmy odprowadzili gromadą aż do przewozu na rzece Sakmarze, pijąc obficie strzemiennego, Brzozowski na Podole, zostawivszy fundusz wystarczający na żywienie smakosza sąsiada, któremu skonfiskowano majątek ponętny dla jakiegoś dygnitarza rosyjskiego. Nareszcie przyszedł manifest wierzbolowski z dnia 17 maja 1867 r., który obejmował wszystkich

wygnańców administracyjnych. Pozwalał im wyjeżdżać do kraju, wszakże nie do gubernij zachodnich, lecz do Królestwa polskiego kongresowego. Nam przeto nie wolno było zamieszkać ani w Kownie, ani w Mińsku, ani w Wilnie. Mniejsza o to! Pojedziemy chętnie do Warszawy. Pobieglem do policmajstra, który był dobrym człowiekiem; usłyszałem z ust jego zapewnienie, że manifest będzie do mnie zastosowany, i troszczyłem się tylko o przyspieszenie procederów kancelaryjnych. Zabraliśmy się pośpiesznie do przygotowań podróżnych. Przylepiwszy na szybach okien karty z ogłoszeniem o sprzedaży mebli i naczyń, wyprzedaliśmy już połowę ruchomości, gdy Bronisław Werner ostrzegł nas, powziawszy wiadomość od znajomego urzędnika, że jesteśmy wykreśleni z listy odjeżdżających. Straszny to był cios dla nas. Szczególnie żona doznała tak dojmującego ataku nostalgii, że nie zdolną była zapanować nad uczuciami i zmizerowała w ciągu dni kilku. Poruszyliśmy wszystkie stosunki i środki dla uzyskania innej decyzji. Tenże Werner znalazł drogę »do stołu naczelnika« i poczęstował go datkiem 50-u rubli. Ja wniosłem podanie z dowodzeniem, że muszę być więźniem administracyjnym, skoro przed paru laty nie zastosowano do mnie manifestu poprzedniego. Przyjaciele nasi: Szumowscy, Kostrowicki, Pożerski odroczyli swój wyjazd w oczekiwaniu na nas.



kiwaniu końca naszej sprawy. Sześć tygodni trwał męczący stan wątpliwości. Nareszcie dowiedzieliśmy się we wtorek, że Kirgiz służbowy przywiózł z letniej rezydencji tekę z podpisanym przez Kryżanowskiego rozkazem wypuszczenia nas. Wnet zawiadomiliśmy przyjaciół, że na czwartek, na godzinę 6 ranną będziemy gotowi do podróży. Jakoż wyjechaliśmy: panie z 4-letnią panną i dwoma panami w tarantasie wynajętym do Samary; ja z Szumowskim na bryczce pocztowej »perekładnej«, uszczęśliwieni na podobieństwo studentów, wyjeżdżających na wakacje. Aniśmy się obejrżeli na Orenburg, miejsce 5-letnich prawie udręczeń dusz i ciał naszych.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### Wyzwolenie, pobyt w Piotrkowie, Warszawa.

---

Porównanie z wakacyami studenckimi wypadło trafnie, bo wolności, swobody ruchów, pełni praw obywatelskich nie odzyskałszy. Jechaliśmy z »wilczym biletem«, to jest z takim paszportem, że, gdziekolwiek pokażemy go, zaraz brała nas w obroty policya. W Samarze zatrzymaliśmy się na kilkadziesiąt godzin, oczekując na statek

parowy i nawiedzając więzioną tam jeszcze staruszkę Dalewską z córkami, z wdową Sierakowską; wysiedliśmy w Kazaniu dla obejrzenia owej »Peresylnej turmy«, w której zmarli oboje Juriewiczowie, i dla zamówienia nagrobka kamiennego na ich mogile: ale w Petersburgu, w znanych mi poprzednio pokojach umeblowanych powiedziano mi na wstępie, że mogę zabawić tylko jedną dobę bez pozwolenia oberpolicmajstra. Był nim znany z Warszawy generał Trepow. Przyjął mnie grzecznie i odesłał do jakiegoś urzędnika, który, porozumiewszy się z przewodnikiem, kazał mi wyjeżdżać przed upływem 24 godzin. Pojechałem do naczelnika Trzeciego Wydziału Kancelaryi J. C. Mości gen. Mieziencowa z prośbą nie tylko o prolongatę do dni trzech, ale i o pozwolenie na pobyt miesięczny u krewnych mojej żony w okolicy Wilkowyszek, w gubernii (nówej) Suwalskiej. Pozwolił, ale za-telegrafował tylko do Trepowa, zapominając o Suwałkach.

Obydwie siostry i mężowie ich przyjęli nas z rozczeniem i pieścili tak, żeśmy wypoczęli i nacieszyli się ich rozkoszami po studencku. Niepokoił mię tylko meldunek wilczego biletu; Ludwik dowiadywał się w biurze naczelnika powiatu o pozwolenie moje — nie nadchodziło, a naczelnik znany był ze złośliwości. Pojechałem do Suwałk, do żandarmów. Pułkownik po-

radził, abym zatelegraował sam do Mieziencowa, on bowiem nie śmie przypominać swemu zwierzchnikowi obietnicy niedotrzymanej. Zatelegraowałem. Nadeszła odpowiedź zadowolająca. Wtedy przyjechałem do Wilkowyszek, żeby się zaprezentować wszechwładcy powiatowemu, Śmielskiemu. Rozmowa odrazu przybrała ton cierpki, aż musiałem powołać się na swoje prawo, co wywarło skutek podobny, jak w rozmowie niegdyś z Kriegerem: oskarżenie mnie przed władzą wyższą, że obywatele ziemscy wyprawiali dla mnie obiady »z owacyami«.

Przyjechaliśmy do Warszawy pierwszy raz w życiu. Na dworcu zasiadał trybunał policyjny do wizowania paszportów. Zapytano mnie, w jakim hotelu chcę stanąć, a gdy nie umiałem wymienić żadnego, podyktowano mi: numer 624, hotel Saski. Tam zająć musiałem i stamtąd przemeldować się gdzieindziej, a ta ceremonia okazała się potrzebną dla rewirowych, przychodzących z wezwaniami i poleceniami policyjnymi. W biurze ober-policmajstra spisano ze mnie protokół i oznajmiono, że Hrabia Namiestnik gen. feldmarszałek Berg przeznaczył mi Piotrków na miejsce zamieszkania pod ścisłym dozorem policyjnym. Nowina ta zmartwiła mnie, gdyż miałem szukać pracy w Warszawie, a w małym mieście prowincjonalnem jakież mogłem znaleźć zarobki i zasoby biblioteczne? Oświadczyłem, że oskar-

żenie jest zupełnie kłamliwe i że poddaję się śledztwu najściślejszemu. Powiedziano mi, że mogę się udać do władz wyższych. W liczbie 6-ciu tysięcy przybyłych wówczas Litwinów i Rusinów mojej kategorii znalazło się mnóstwo życzliwych mi osób, które starały się dopomagać mi różnymi sposobami. Chodziłem od jednego do drugiego potentata, podałem prośbę do namiestnika na ręce jego adjutanta, podawali różni niby krewni moi wymowne wywody — wszystko nadaremnie. Po dwóch tygodniach bezowocnego szamotania się rewirowy odprowadził mnie na stacyę drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, a policya przesłała papier do Piotrkowa o moim wyjeździe, nota bene z datą nowego stylu.

Policmajster piotrkowski Aleksiejenko z inspiracyi gubernatora Kachanowa był gorliwszym rusyfikatorem i zapisywał daty podług kalendarza juliańskiego. Stąd wynikła kwestya: jakim sposobem ja znajdowałem się w Warszawie we 12 dni po przybyciu do Piotrkowa? Podejrzenie nabrało większej mocy przez raport policyanta stójkowego, żem rysował i malował, usiadłszy na placu, zamek staroświecki. W istocie, bardzo mi się wydał ciekawym zrujnowany, ale górujący nad okolicznymi domami i zdaleka widzialny zamek przez Kazimierza Wielkiego założony, za Zygmunta I ozdobiony, przez Warszzyckiego

w 1670 r. reparowany i piramidalnym dachem pokryty. Miałem całe album podróżne na rze-  
mykach zawieszone przez plecy: więc byłem  
gotów do malowania, chociaż nie rozpakowa-  
liśmy jeszcze walizy w jednym z dwóch wol-  
nych mieszkań, jakie znaleźliśmy do wynajęcia  
w środku kwartału. Nawet nie zupełnie ustąpili  
nam miejsca dawniejsi lokatorowie, żydzi. Wie-  
czorem wkroczył do naszej izby policmajster  
z odpowiednią siłą zbrojną. Zapytał najprzód,  
w jakim celu malowałem tę ruinę? Odpowiedzia-  
łem żartobliwie, że dla Napoleona III, który ją  
zużytkuje, jako podstawę strategiczną, ponawia-  
jąc najazd stryja swojego na Rosyę. Pokazałem  
przytem pałac generał-gubernatorski w Oren-  
burgu, namalowany dokładniej, z wykończeniem,  
a bez przeszkody. Jazda do Warszawy prysnęła  
wobec świadectwa żydów współlokatorów, że  
nie wyjeżdżał. Zabrano mi tylko rysunek — na  
dni parę.

Byłem u gubernatora z prośbą, aby mi za-  
kreślił granice, w którychbym swobodnie mógł  
się poruszać, gdyż nie znam ustaw tutejszych  
i nie wiem n. p. czy wolno mi będzie malować  
akwarelą? Otrzymałem wyraźne pozwolenie i już  
bez przeszkody wymalowywałem wszystkie cztery  
boki z wieżą »in fundo« Trybunału Głównego  
w chwili, kiedy ten gmach zaczynano rozbierać...  
podobno wedle życzenia dwóch kupców, którzy

chcieli rozszerzyć przestrzeń promieniowania dla sztyldów swoich sklepowych. Rynek zamku z artykułem historycznym, zaczerpniętym z dokumentów archiwalnych, posłałem do »Kłosów«. Artykuł podobał się wice-gubernatorowi i zakwalifikowany został do urzędowej gazety (Gubernskija Wiedomosti), ale radca, któremu dano do przetłumaczenia na język rosyjski, nie był w stanie poradzić sobie ze stylem literackim: więc ja go wyřczyłem na prośbę wice-gubernatora Prewłockiego. Zamiast honorarium pieniężnego otrzymałem uścisk ręki, ale też i protekcję do wyzwolenia z pod dozoru policyjnego.

Dozór ten miał trwać trzy lata i z początku obarczał mię obowiązkiem meldowania się co dni 10 u strażnika, a właściwie u pani strażnikowej, która mi podawała księgę do zapisywania mojego nazwiska. Ścisłe wykonywanie tego obowiązku spowodowało zmianę dozoru ścisłego na zwyczajny z meldunkiem raz na miesiąc z paszportem czerwonym wprawdzie, ale bez czarnej obwódki, i z terminem miesięcznym, nie tygodniowym. Wyjeżdżałem tedy do Warszawy i na wieś. Nie zabraniano mi żadnych zajęć, jakie znaleźć można było w małym i niezamożnym mieście. Wyczerpał się wprawdzie fundusz, z Orenburga wywieziony, ale wśród swoich znalazły się i serca życzliwe, i pomysły szczęśliwe, a bardzo urozmaicone. Profesor miejscowego



gimnazyum, Roman Pleniewicz, zorganizował kilka widowisk teatralnych amatorskich, a mnie zaproponował namalowanie dekoracyj. Zgodziłem się. Zażądałem garnków, pendzli, farb i dużej sali do rozciągania kurtyny na podłodze; sprawiłem sobie fartuch ogromny i dalejże do kreślenia perspektywy węglem, do rozrabiania kolorów najefektowniejszych możliwie w garnkach. Zapłacono mi kilkadziesiąt rubli. Z kościoła pobernardyńskiego zamówiono mnie do odnowienia figury Pana Jezusa; pomalowałem ją farbami olejnymi, pociągnąłem werniksem, i do dziś dnia zapewne Piotrkowanie całują Jej nogi w Wielki Piątek, nie pomnąc i nie domyślając się mojej zasługi. Potem rejent wzywał mię do tłumaczenia pewnych aktów na język rosyjski; prezydent miasta, Jeziorański, dawał mi do obronienia jakieś referaty inżynierskie; hrabina Ostroróg-Sadowska sprowadzała mię na kilka dni do Moszczenicy dla przetłumaczenia rachunków niemieckich fabryki jakiejs wrocławskiej; dawałem lekcye kilku uczniom. Zawiazały się miłe stosunki towarzyskie, nawet z tańcami czasem. Znalazł się i Korzon, stryjec mój herbowy, pieczętujący się tym samym Kotem; żona jego była właścicielką kamienicy i rozsądną matką dwóch miłych córek, on zawołanym preferansistą i organizatorem karciarstwa w naszym saloniku, gdyśmy od Żydów przeprowadzili się do domku

poczciwej pani Bromirskiej. Żona moja okazała niespodzianie umiejętność preferansa, whista, rumel-pikieta, maryasza, kiksa i niewiedzieć jakich jeszcze gier staroświeckich i nowoczesnych; ja musiałem też siadać do zielonego stolika, ale zdolny byłem utrzymać uwagę w nateżeniu tylko do połowy puli preferansowej.

Zmartwienie sprawiały nam reformy owoczesne w kraju i losy narodu, ale osobiste stosunki nasze były znośne, niekiedy nawet przyjemne. Miewaliśmy odwiedziny przyjezdnych przyjaciół; wpadł do nas na dni kilka z robót inżynierskich kochany szwagier, Kazimierz Jurewicz. Pragnąłem jednakże wyrwać się z Piotrkowa, gdzie niemożliwą była praca naukowa na polu historii powszechnej. Zdarzyła się w świecie administracyjnym potrzeba przynajęcia dyetaryuszów do biur Rządu Gubernialnego z powodu przekształcenia jednego wydziału na Izbę Skarbową. Ogłoszono werbunek w gazecie na miesiąc z płacą 25—50 rubli, a do mnie przyszedł urzędnik od wice-gubernatora z zaproszeniem. Stawilem się w gabinecie pana Prewłockiego; ten wyprawił mię zaraz do gubernatora po decyzję, niewątpliwie już umówioną poprzednio. Kachanow wytłómaczył mi tylko, jak wielką bierze na swe sumienie odpowiedzialność przed cesarzem, i niezwłocznie podpisał nominację. Zasiadłem tedy znów do pisania referatów

i korespondencyi urzędowej, zaszczytany szczególnem zaufaniem radcy Bahemila. Po 5-u tygodniach nudnego harowania proponowanej mi nowej posady nie przyjąłem, lecz prosiłem o wydanie mi świadectwa odbytej służby. Radca zgodził się uprzejmie, a nawet dopisał własnoręczną atestacyę, żem pracował »ze szczególną gorliwością i doskonałą znajomością rzeczy«. Zużytkowałem to świadectwo, załączając do prośby, aby mnie zwolniono od dozoru policyjnego. I to się udało, chociaż upłynęły mi tylko dwa lata niecałe. Na początku września 1869 roku otrzymałem biały paszport o godzinie 11-ej, o 1-ej siedziałem w wagonie, o 6-ej wjeżdżałem tryumfalnie do Warszawy — z 9-u rublami w kieszeni. Żonie zostawiłem 40 na załatwienie wszelkich rachunków piotrkowskich. Uczułem się wolnym. Lubo przekonałem się później, że nazwisko moje pozostawało na rejestrze policyjnym jeszcze przez lat 13, aż do manifestu koronacyjnego 1883 r., bo ile razy zgłaszałem się po paszport, dopisywano mi zawsze w cyrkułe: »o tej osobie posiada informacye wydział sekretny« (объ этой личности имѣются свѣдѣнія въ секретномъ отдѣленіи), ale dopisek ten nie wzbraniał mi podróży za granicę i do cesarstwa rosyjskiego z wyjątkiem dwóch stolic i 9-u gubernij Zachodnich.

Trzeba było szybko znaleźć zarobkowanie.

»Aktualność« narzuciła mi misję rusyfikatora. Podjąłem się najpierw dla Chwaliboga, naczelnego prokuratora senatu i profesora skasowanej Szkoły Głównej, przetłómaczyć jego kurs postępowania sądowego na język rosyjski dla zachowania katedry w nowootworzonym uniwersytecie. Następnie kolega mój, Emilian Konopczyński, prosił, abym uczył języka rosyjskiego pensyonarzy jego, zmuszanych w gimnazyum do mówienia i pisania po rosyjsku bez błędów. Tak samo trafił się drugi profesor gimnazyalny, Izdebski, i trafił także do mnie, a gdy sam przyjąłem piotrkowskiego szlachcica na wychowanie, to znajdowałem zaledwo parę godzin na posiedzenia w bibliotece publicznej. Uzupełniłem jednakże i poprawiłem przywieziony z Orenburga »Kurs Historii Wieków Średnich«. Jedyńy znany mi z Wilna księgarz — wydawca Orgelbrand, spojrzawszy na objętość, uznał, że nie pokryje kosztów druku, ale towarzysz wygnania orenburskiego, Brzozowski, będąc w Warszawie, odszukał mnie i oświadczył się z chęcią wydania. Plenipotent jego wyliczył mi 1.000 rubli, Berger wydrukował, księgarze po nizko obliczonej cenie rozprzedali w ciągu lat 5-ciu, zwróciłem kapitał plenipotentowi i zyskałem dla swego na zwiska miejsce za szybami wystaw oraz w katalogach księgarskich. Odtąd wyręczają mnie w określaniu działalności publicznej bibliografo-

wie, recenzenci i encyklopedye. Gdy jednak wiadomo powszechnie, jak jest niska stopa honoraryów autorskich i jak słaba pochoptność publiczności naszej do kupowania książek, zwłaszcza naukowych: więc dodam jeszcze z prywatnych moich stosunków wyznanie, że budżet swój opierał głównie na pedagogice. Z oszczędności zbierałem fundusze na wyjazdy za granicę i na koszty poszukiwań archiwalnych. Pisałem Wewnętrzne Dzieje Polski za Stanisława Augusta późnymi wieczorami po 7-u lekcjach dziennych czyli 42 godzinach tygodniowych, mając jeszcze troskę w nocy o swych pensyonarzach. Ale wystarczałem na wszystko siłami, czego każdemu Polakowi w szczególności i wszystkim w ogólności życzę wśród trudniejszych, niż w innych krajach, warunków istnienia.

Sopoty, 27/VII. 1912.



## SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa . . . . .	1
Rozdział I. Mińsk w połowie XIX wieku . . . . .	3
» II. Na uniwersytecie w Moskwie . . . . .	50
» III. Urzędowanie w Kownie . . . . .	70
» IV. Demonstracye polityczne. Uwięzienie i proces . . . . .	82
» V. Wygnanie . . . . .	104
» VI. Wyzwolenie, pobyt w Piotrkowie. War- szawa . . . . .	134

